№ 42. Warszawa, dnia 16 (4) Października 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SŁOWA PRAWDY.

Przyjaźń czesko-polska i wogóle przymierze ludów słowiańskich, jako konieczność skutecznej walki obronnej i jako podstawa przyszłego skojarzenia się słowian, było stale w *Prawdzie* przedmiotem bacznej uwagi i gorącej zachęty. Krytykując zaś błędy i fałszywe ruchy, nadrywające lub rozcinające ten związek i pamiętając, że przed potępieniem innych przedewszystkiem siebie surowo osądzić trzeba, nie oszczędziliśmy nigdy istotnych win polaków galicyjskich. Nie będziemy też chyba pomówieni ani o słabość, ani o stronność dla swoich, gdy dziś zwrócimy się przeciwko czechom.

Byłoby to zajęciem bezpożytecznem i bezcelowem, gdybyśmy jeszcze raz sprawdzili wszystkie rachunki historyczne obu narodów; że czesi są społeczeństwem praktycznem, roztropnem, mądrem w ochronie swych interesów, że stanowią wzór przykład dla ludów sąsiednich—tego im nikt nie zaprzeczy; ale i to również jest pewnem, że często za daleko posuwają swe samolubstwo, że korzyścią bieżącą przesłaniają sobie względy szersze, ważniejsze. Są oni nieocenionymi pomocnikami, dopóki ich egoizm nie stanie wobec obowiązku ofiary, dopóki nie zetrze się z cudzem dobrem; wtedy, zamiast chleba, natychmiast z zanadrza wyjmują kamień i uderzają nim sprzymierzeńca śmiertelnie, gotowi zawrzeć spółkę z jego wrogiem. Wszystkie narody są samolubne, ale samolubstwo czechów mogłoby wejść w przysłowie. Wydźwignęło ono ich z wielu ciężkich położeń, ocaliło od zagłady, pozwala ono dziś wyzyskiwać każdą chwilę, jest praktycznym rozsądkiem, trzeźwą rachubą, słowem — cnotą, zapomocą której można się dorobić wiele. Ale owa cnota traci swój charakter moralny, skoro przechodzi w bezwzględność, nieszanującą cudzego dobra. W czechach nieraz rozrasta się ona potwornie, zagłuszając inne uczucia.

Uważają się za słowianofilów, ale są nimi o tyle, o ile widzą w tem dla siebie zarobek. W zakres tego słowianofilstwa wchodzi każdy członek wielkiej rodziny plemiennej, który im coś dać może. Jeżeli dwu słowian porwie się za bary, czesi są „braćmi" silniejszego. Słabszy nie przypomina im swego pokrewieństwa, chyba wtedy, gdy znowu przedstawia dla nich jakąś chwilową wartość. Tak np. są słowianofilami względem polaków, gdy od nich potrzebują pomocy; natomiast zapominają o kuzynowstwie, gdy tego wymaga ich interes. Wiadomo, jak śmiało swemi sympatyami przeskakiwali przez polaków wtedy, kiedy na tym skoku „słowianofilstwo" okuleć musiało, i jak często odwołują się do związku z nimi w Austryi, kiedy własnemi siłami nie mogą wywalczyć jakiegoś zysku. W takich wypadkach mają pełne usta „braterstwa," które w innych wzgardliwie wypluwają.

Charakterystyka ta naturalnie nie ogarnia wszystkich żywiołów narodu, ale — rzecz dziwna — jeśli w niedalekiej przeszłości stosowała się do staroczechów, to dziś odbija rysy młodoczechów. Ci ostatni spotęgowali w sobie wszystkie przymioty poprzedników, nie wyłączając egoizmu. Rozwinąwszy szeroko chorągiew słowiaństwa, walczą pod nią w celach narodowych własnych. Jako stronnictwo krewkie, krzykliwe, w naganach szczodre, odbywa często swe sądy nad polakami wogóle, nie poprzestając na najbliższych sąsiadach. Zwłaszcza z łamów dziennika *Narodni listy* słyszymy częste napomnienia, przycinki lub nawet ostre wymysły.

Zdawałoby się, że przyjazdy p. Jelinka i jego rodaków do dzielnic polskich, że pewne zbliżenie się życiowe i literackie dwu społeczeństw rozproszy mgłę, która między nimi i nami zalegała i pozwoli czechom widzieć prawdę. Tymczasem pożądany ten skutek nie występuje wyraźnie i politycy piszący nieraz tyle wiedzą o polakach, co o irlandczykach. Sądzić zaś naród jedynie z kodeksem teoretycznego słowiaństwa, przykrojonym do własnej wygody — jest to wyrokować o ludziach na księżycu przez teleskop. Majaczeń, bredni, pustych słów, niesprawiedliwych oskarżeń — uniknąć niepodobna. Roją się też niemi kolumny *Narodnich listów*, które, machając pałaszem swej frazeologii, ani przypuszczają może, że ranią zranionych. Zrzekłszy się zupełnie badania rzeczywistości, kreślą sobie fantazyjny jej obraz, rozdają w nim role według upodobania i strzelają w tę stronę, gdzie z opatrunkiem spieszyć powinny. Jest to zdumiewającem, że pisma praskie, które najchętniej i najsurowiej w ostatecznej instancyi rozstrzygają sprawy nasze, nie mają wcale śród nas korespondentów i czerpią wiadomości z potocznych, niezawsze czystych źródeł. Mogą sobie te pisma bajać o nas, co im do głowy wpadnie, mogą wygłaszać codzień świeże rady dla polityki polskiej, my będziemy tylko wzruszać ramionami i puszczać mimo uszu bzdurną gadaninę, która się nie trzyma realnego gruntu. Niech one na ten grunt przyślą sumiennych i biegłych sprawozdawców, niech od nich otrzymują prawdziwy, niesfałszowany materyał, i wtedy niech wnioskują. Nawet prasa galicyjska, licho obsługiwana, zwykle nieszczęśliwie akcentująca objawy i warunki naszego życia, nadająca wielkie rozmiary drobnym, a lekceważąca wzniosłe — nie jest dobrą pośredniczką. Czesi,

jeśli chcą zajmować się nami poważnie, muszą nas badać bezpośrednio — o czem dotąd mało myśleli.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Stosunki polityczne znajdują się w stanie naprężenia, grożącego ich zerwaniem, tak przynajmniej wskazuje najczulszy barometr pogody europejskiej — giełda, która telegramy o ostatnich wypadkach w Bułgaryi powitała obniżeniem kursu rubla o dwie marki na sto. Działalność generała Kaulbarsa nie doprowadziła do pożądanego celu. Pełnomocnik rosyjski odważnie objechał wszystkie ważniejsze miasta Bułgaryi, wszędzie jednak odpowiedzi, jakie otrzymywał, brzmiały bardzo podobnie. Każda wzmianka o Rosyi wywoływała okrzyki hurra, poczem następowały zapewnienia o życzliwości, wreszcie dopiero wyznanie, że pomimo najszczerszych chęci, żądania generała nie mogą być uwzględnione. We wszystkich miastach odpowiedź ta powtarzała się tak stereotypowo, że nakoniec zniecierpliwiony generał, kiedy bułgarzy przystępowali do drugiej części swego programu, przerywał zwykle rozmowę i odchodził lub odjeżdżał. W Warnie stronnictwo nieprzychylne Rosyi urządziło przed konsulatem demonstracyę i dopiero wojsko z rozkazu władzy, a na żądanie p. Kaulbarsa, rozpędziło tłum. Podczas wyborów w Sofii poturbowano cankowistów, poczem lud otoczył konsulat rosyjski i z obu stron padły wystrzały. W Ruszczuku Zachar Stojanow odczytał na zebraniu ludowem telegram od Battenberga, oświadczający, że książe przyjmie koronę, jeżeli go powtórnie wybiorą, co bardzo prawdopodobnie może nastąpić, ponieważ t. z. partya narodowa posiada olbrzymią większość głosów w Zgromadzeniu. Z 490 wyborów, których rezultat jest wiadomy, liczą zwolenników regencyi 420, cankowistów 20 i 50 nieokreślonych. Istnieje podobno zamiar obwołania księciem Battenberga, jeżeli zaś mocarstwa nie zatwierdzą tego wyboru, zgromadzenie ogłosi rzeczpospolitą.

Rząd tymczasowy w ostatnich dniach jawnie zaznaczył swą niechęć względem Rosyi. Czterdziestu kilku oficerów, należących do spisku, ukaranych zostało dyscyplinarnie z rozporządzenia ministra wojny, przeciw czemu nawet protestować nikt nie może; tylko główni winowajcy oddani będą pod sąd, jeżeli zgromadzenie ich nie ułaskawi. W przeddzień wyborów regencya ośmieliła się jeszcze bardziej i wydała odezwę, w której oświadcza, że nie pozwoli na agitacye polityczne obcych poddanych, nieposłusznych zaś odstawi do granicy. Konsul rosyjski p. Niekludow zaprotestował przeciw temu postanowieniu i zerwał wszelkie stosunki z rządem bułgarskim, później jednak zawiązał je napowrót, ale dlatego tylko, żeby złożyć oświadczenie, iż Rosya rezultatu wyborów nie uznaje i uchwały przyszłego zgromadzenia narodowego uważa za nieprawne.

Z tego pogmatwania stosunków pragnie skorzystać Anglia, która zyskawszy na czasie, stara się powetować klęski swej polityki. Lord Churchill, jeden z najwybitniejszych członków gabinetu, odbywa incognito podróż z Berlina do Wiednia i napowrót, po drodze wstępuje do Drezna, gdzie podobno spotkać się miał z Battenbergiem. Koszta podróży lorda ponosi również nieszczęśliwy rubel. O zmianie postawy Anglii świadczy jeszcze fakt, że konsul brytański w Ruszczuku jawnie wzywał ludność, aby stawiła opór żądaniom Rosyi, agent zaś dyplomatyczny w Sofii oświadczył, że odroczenie wyborów i amnestyę spiskowców rząd jego uważałby za krok niewłaściwy. Do Konstantynopola jedzie na posła znany nieprzyjaciel Rosyi, White, którego Porta długo wzdragała się przyjąć.

W Wiedniu policya odkryła olbrzymi spisek anarchiczny. Rewolucyoniści w kilku miejscach chcieli podpalić miasto, wysadzić w powietrze most kolejowy, letni pałac cesarski itd. Znaleziono wielkie ilości dynamitu i bomb wybuchowych. Zamach nie udał się, nietylko dlatego, że policya dosyć wcześnie zwróciła uwagę na przygotowania, ale i z tego powodu, że bomby i przyrządy do podpalenia wykonane były nieumiejętnie. Do spisku należeli anarchiści wiedeńscy w liczbie 2,000, ale głównymi kierownikami byli wysłańcy z Niemiec i Anglii, lub cudzoziemcy, ci, rozumie się, zbiegli, aresztowano zaś podrzędnych wykonawców. Niektóre dzienniki wyrażają jednak zdanie, że cała ta sprawa jest mocno przesadzona przez policyę, której chodzi o to, ażeby stan wyjątkowy dla Wiednia i okolicy przedłużony został na lat parę.

W Hiszpanii nastąpiła zmiana gabinetu, ponieważ członkowie poprzedniego nie zgodzili się na ułaskawienie głównych przywódców spisku. Radość powszechna w całym kraju z ułaskawienia powstańców świadczy, że republikanie posiadają wielu zwolenników.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DEMOKRATYZACYA ZASAD.

I.

Zwyrodnienie i odrodzenie.

W ostatnich latach coraz częściej powtarza się frazes o znaczeniu ludu, jako pierwszorzędnego czynnika w naszem życiu społecznem. Powiedziałem umyślnie frazes, pragnąc zaznaczyć, że zdanie to bywa zwykle „brzęczącą miedzią“ swady dziennikarskiej, twierdzeniem nieudowodnionem należycie, ani też nieobowiązującem nikogo do niczego, ani w teoryi, ani w praktyce. Nawet z obozu szlachecko-zachowawczego odzywają się głosy, fałszywie nastrojone wprawdzie, ale przyznające, że w ludzie spoczywa przyszłość nasza. W literaturze niejednokrotnie zauważono już zwrot do tematów ludowych, który, mniejsza o to, czy jest popędem szczerym, czy też w znacznej mierze płodem naśladownictwa, świadczy zawsze, że demokratyzacya pojęć naszych i uczuć zrobiła krok naprzód. Te nawpół-świadome dążenia, te mimowolne ustępstwa, to schlebienie piśmiennictwa stanowi objaw bardzo znamienny, wskazuje bowiem, że środek ciężkości naszego życia narodowego przesuwa się coraz niżej, do podstaw jegο.

2)

POWIEŚĆ.

BITWA POD WATERLOO

przez

Aleksandra Kiellanda.

— Zresztą — ciągnął dalej, kiedy przeszli na drugą stronę ulicy, trzymając kuzynka Jasia pod rękę — zresztą, wiem bardzo dobrze, kto mieszka pod numerem 34, jeśli tylko dokładnie pamiętam — wszak to stary kapitan Schrappe.

— Czy go znasz, wuju? — zapytał Jaś zaciekawiony.

— Tak, trochę, jak go zna połowa miasta z jego codziennych spacerów po wale fortecznym.

— Właśnie tam go widziałem — mówił Jaś — wydaje się interesującym człowiekiem; jakżebym pragnął go poznać, miałbym wielką ochotę z nim porozmawiać.

— Życzenie twoje może być natychmiast i bez trudności spełnione — odrzekł wuj Fryderyk — usiądź tylko na wale i zacznij kreślić coś po piasku, a on niezawodnie się zbliży.

— Jakto, on się zbliży do mnie? — zapytał kuzynek Jaś.

— Tak, następnie zacznie z tobą rozmawiać, ale musisz się wystrzegać, to niebezpieczny człowiek.

— Co? — co mówisz, wuju?

— Tak, a następnie zacznie z tobą rozmawiać. Ale raz o mało mnie życia nie pozbawił.

— Ach! — zawołał kuzynek Jaś.

— Tak, swoją gadaniną — odrzekł wuj Fryderyk.

— O!

— Zna on mianowicie dwie historye — prawił wuj — jedna trwa dobre pół godziny i obraca się naokoło manewrów w Schoonen; drugą jest bitwa pod Waterloo i trwa najczęściej od półtorej do dwóch godzin. Tę ostatnią już trzy razy słyszałem!

I wuj ciężko westchnął.

— Alež czy to opowiadanie takie nudne? — zapytał kuzynek Jaś?

— O, raz jeden można je usłyszeć — odrzekł wuj Fryderyk — ale gdybyś doszedł do rozmowy z kapitanem, to sobie zapamiętaj następującą przestrogę: Jeżeli natrafisz na krótszą historyę z manewrów w Schoonen, kiwaj tylko głową od czasu do czasu. Zresztą na polu bitwy najlepiej będziesz się mógł zoryentować.

— Na polu bitwy? — zapytał kuzynek Jaś.

— Tak, bo musisz wiedzieć, że on ci na piasku całe pole bitwy narysuje, ale to bardzo łatwe do zrozumienia, jeżeli będziesz uważał na A i B. Tylko na jednym punkcie musisz baczyć, żeby się nie zdradzić, że nie śledzisz toku jego opowiadania.

— A czyż on się niecierpliwi, gdy go nie rozumieć? — zapytał kuzynek Jaś.

— Nie, przeciwnie! Lecz jeżeli spostrzeże, że nie uważasz, to całą historyę jeszcze raz od początku rozpocznie na nowo. Ważnym punktem przy manewrach — mówił dalej wuj — jest pewne poruszenie samego kapitana, wbrew rozkazowi jenerała, które nieprzyjaciela i przyjaciela w wielki kłopot wprowadza. Między nami mówiąc, to było właśnie przyczyną, że musieli kapitanowi ofiarować order i postarać się o to, aby sam zażądał uwolnienia ze służby. W chwili więc, kiedy do tego punktu dojdziecie, musisz często głową kiwać, mówiąc: „naturalnie! — jedyna możebna rzecz — to był klucz pozycyi.“ Nie zapomnij: „klucz.“

— Klucz — powtórzył kuzynek Jaś.

— Ale gdybyś przypadkiem — i wuj Fryderyk spojrzał na niego litościwym wzrokiem — ale gdybyś przypadkiem z twojem romantycznem usposobieniem i szukaniem przygód miał wpaść na bitwę pod Waterloo, to albo zupełnie milcz, albo bardzo uważaj. Ja musiałem kiedyś przez półtorej godziny drugi raz słuchać opowiadania, tylko dlatego, że w mojej niecierpliwości chciałem mu pokazać, jak dobrze rozumiem sytuacyę i pozwoliłem iść naprzód dragonom Kellermana, zamiast kirasyerom Milhauda.

Przeszłość nasza wyodrębniła zupełnie warstwy wyższe od masy narodu, pomiędzy dwoma tymi światami zerwały się wszystkie prawie nici, podtrzymujące obcowanie wzajemne. Nastąpił rozbrat całkowity, którego nie można nawet porównywać z przeciwieństwem interesów stanowych w Europie zachodniej, gdzie różnice te przechodzą cały szereg stopniowań. Błędnem jest mniemanie, że przeciwieństwo to nosi u nas wyłącznie charakter społeczno-ekonomiczny, że wielki posiadacz ziemski przeciwstawia się drobnemu, kapitalista — najemnikowi, szlachcic — chłopu. Rozdział sięga głębiej, po jednej stronie bowiem stoi cała warstwa uprzywilejowana w jakikolwiek sposób, cała inteligencya narodu—po drugiej zwarta masa ludowa, związana tylko nieświadomem poczuciem wspólności plemiennej — naród pański i naród chłopski. Na jednej stronie zebrały się wszystkie światła i cienie wszystkie: wspomnienia świetnych czynów i ofiar wielkich, wspaniałe zabytki przeszłości i relikwie troskliwie chowane, życie smutne nieraz, ale pełne, świadome swego celu; druga strona zostaje dotąd w pólmroku, ze swą szarą dolą, ze swą pracą bezimienną. Ten naród uprzywilejowany żył i działał, naród chłopski trwał tylko, kiedy zaś pierwszy w działaniu nieopatrznem roztrwonił swe siły, drugi przetrwał do dnia dzisiejszego bez widocznego wzrostu swych zapasów żywotnych, ale i bez ich uszczerbku.

Społeczeństwo nasze robi takie wrażenie, jakby z granitowego piedestału wystrzeliła w górę kolumna, cienka niezmiernie u podstawy, rozszerzająca się potem i zakończona szerokim a ciężkim kapitelem. Pomiędzy warstwą inteligentną i ludem istnieje łączność tak słaba, że lada podmuch wichru obalić ją może. To, co właściwie nazywa się u nas narodem, stanowi drobny zaledwie odsetek milionowej masy plemiennej i wyodrębnia się od niej zupełnie. Skutki tej odrębności występują obecnie już tak wyraźnie, że można je dokładnie zaznaczyć. Jałowość naszej umysłowości, nieodświeżanej dopływem nowych soków, tchórzliwość myśli, lękającej się wszelkich poglądów szerszych, lękliwość uczuć, pozbawionych tego impulsu, jaki im nadaje oddziaływanie wzajemne — wszystko to następstwa owej wyłączności. Tem objaśnia się również koteryjność nasza, uniemożliwiająca istnienie poważnych stronnictw, żadna bowiem zasada, żaden program nie może rachować na liczny zastęp zwolenników, nie bierze nawet okoliczności tej pod uwagę. Inteligencya nasza znajduje się w warunkach, powodujących zawsze zwyradzanie się: pasorzytny sposób istnienia (w znacznej większości), zdrobnienie rozmiaru, tj. mała jej liczebność i nieruchomość, wywołana zasklepieniem się w ciasnej sferze interesów pewnej warstwy. Dobór naturalny odbywa się tu w bardzo ograniczonym zakresie i prowadzi do tych samych rezultatów, do jakich doszły różne dynastye, kasty, sekty itp. organizacye społeczne, oparte na wyłączności. W danym wypadku proces ten odbywa się powolniej, objawy jego występują mniej wyraźnie, ale niektóre z nich można już dziś wskazać tam, gdzie owo zasklepienie się, wskutek szczególnych warunków, było ściślejszem. W tych prowincyach, gdzie narodowość nasza posiada nielicznych tylko przedstawicieli, stanowiących wyłącznie prawie uprzywilejowaną warstwę społeczną, jak np. na Ukrainie, Wołyniu, Podolu, wyradzanie się żywiołu polskiego nie może ulegać wątpliwości. Nikt dotychczas nie zwrócił uwagi, że ziemie te destarczają $^{9}/_{10}$ wszystkich grafomanów, dziwacznych filozofów, obłąkanych poetów, rozmaitych reformatorów itp. Na Wołyniu rzadką jest rodzina, w ktorejby ktoś nie był dotknięty obłąkaniem, a piszący te słowa wymienić może kilkanaście, w których szaleństwo od kilku pokoleń dziedzicznie przechodzi na wszystkich członków. W ziemiach polskich objaw ten „nie jest tak wyraźnym, bo tutaj, badź co bądź, istnieje odświeżanie krwi, ale że i w naszej inteligencyi wyradzanie się przybiera coraz szersze rozmiary, świadczy chociażby wzrastająca jej nerwowość. Żydzi np., którzy wyodrębnili się od reszty społeczeństwa i oddali się przeważnie zajęciom umysłowym, dają znacznie większy procent obłąkanych, aniżeli inne rasy.

Nietylko więc wymagania naprawy społecznej, nietylko pobudki natury moralnej, ale wymagania życia prowadzą inteligencyę naszą w kierunku, którego treść określiliśmy na wstępie tego artykułu. Przemawiają za tem i inne względy, chociażby zmiana stosunków ekonomicznych, wyrażająca się w stopniowym upadku własności większej i przechodzeniu jej bądź w ręce chłopów, bądź w ręce żywiołów obcych nam duchowo i plemiennie. Mieszczaństwa narodowego, w znaczeniu stanu trzeciego, nie mamy prawie wcale, niższe bowiem jego warstwy należą do ludu, wyższe zaś są albo wrogie nam, albo obce. Ta zaś nieliczna „polska burżuazya," którą wytworzył rozrost przemysłu w ostatnich latach dwudziestu, już od samego początku nosi w sobie zarodki rozkładu, które nie wróżą jej długiego życia. Inteligencya nasza w znacznej liczbie nie posiada już charakteru stanowego, ale dotychczas jeszcze istnienie swoje opiera czy raczej opierać pragnie na łączności swej z interesami warstw wyższych. Opora ta jednak z dniem każdym coraz bardziej chwieje się i słabnie. Czy można zaś wyobrazić sobie inteligencyę, która zawiśnie w przestrzeni, bez związku ze społeczeństwem? To, co się dzieje dziś w Poznańskiem pod naciskiem przemocy, gdzieindziej wolniej, ale niemniej stanowczo odbywa się skutkiem zmiany stosunków ekonomicznych. Klasa ziemiańska traci ziemię, a wraz z nią stanowisko społeczne i przechodzi do szeregu inteligencyi nie-kastowej, mieszczaństwo—obce, w czyjeż więc ręce obrońcy tradycyi historycznej złożą swą „arkę przymierza między staremi i nowemi laty?"

Nic więc dziwnego, że poszukując teraz dla zachowania tej pamiątki wiernego stróża i gorliwego opiekuna, przypominają sobie tego Maćka, o którego tysiącoletniej służbie zapomnieli. W znojnej pracy, w ciężkiej niedoli, strzegł on pilnie ziemi i obowiązek swój spełniał jak należy. To właśnie pozwalało panom bronić kultury europejskiej, skarbić sobie zasługi wobec chrześciaństwa, dorabiać się wielkich wspomnień, to, niestety, pozwalało im również potem szaleć i trwonić ten dorobek. Tylko że dzisiaj Maciek zmądrzał i za „coś niecoś na wódkę" nie zgodzi się do żadnej służby. On dziś równouprawniony obywatel, a chociaż ciemny, swoim chłopskim rozumem miarkuje, co mu zysk, a co krzywdę niesie, czego ma żądać i co w zamian dać może.

— I pozwoliłeś dragonom wyprzedzić?— zapytał kuzynek Jaś.

— Tak, ale ty to już zrozumiesz, jeśli się zniecierpliwisz długiem opowiadaniem, jednak—mówił wuj Fryderyk uroczystym tonem — wystrzegaj się, powiadam ci — wystrzegaj się Blüchera.

— Blüchera? — zapytał kuzynek Jaś.

— Tak, tak, więcej ci nie powiem — ale właściwie, po co ja tu z tobą łażę i opowiadam o tym starym oryginale—czego ty chcesz od niego?

— Czy on codzień przed południem chodzi na spacer? — zapytał Jaś.

— Co rano od 11 do 1, a codzień po południu od 5 do 7. Ale skąd to zainteresowanie się?..

— Czy ma dużo dzieci? — przerwał Jaś.

— Tylko jedną córkę. Ale cóż u dyabła?..

— Adieu, wuju, spieszę do domu, do moich książek.

— Zaczekaj jeszcze!.. Czy nie przyjdziesz dziś wieczorem do ciotki Maren? Miałem cię właśnie tam zaprosić.

— Nie, dziękuję, nie mam czasu — zawołał Jaś — spieszę do domu.

— Będzie tam damskie towarzystwo — same młode panny! — mówił wuj Fryderyk, nie mogąc w żaden sposób pojąć, co Jasiowi się stało. Ale ten, lecąc, kiwnął jeszcze raz głową i znikł na skręcie ulicy.

— Dziwne, niepojęte rzeczy — myślał wuj Fryderyk — ten chłopiec zwaryował, albo... teraz wiem!.. zakochany!.. Stał i mówił coś niezrozumiałego o miłości, kiedym go przed 34 numerem spostrzegł—jego zainteresowanie się starym kapitanem Schrappe!.. Czyżby się w pannie Betty zakochał?.. Nie, nie — myślał wuj Fryderyk, idąc dalej — tyle rozumu on nie ma.

II.

Przy dzisiejszym obiedzie Jaś jadł bardzo niewiele. Zakochani nigdy wiele nie jedzą, zresztą siekane kotlety nie były jego ulubioną potrawą.

Nareszcie wybiła godzina piąta. Zajął miejsce na wale, skąd najlepiej mógł ogarnąć cale pole forteczne. Rzeczywiście, wkrótce zjawił się czarny tużurek, jasne spodnie i świecący kapelusz.

Kuzynek Jaś uczuł lekkie bicie serca. Z początku myślał, że pochodziło to stąd, iż ułożył sobie plan postępowania względem starego czcigodnego kapitana i miał z tego powodu pewne uczucie wstydu. Ale niedługo poznał, że to widok ojca ukochanej wszystką krew w nim wzburzył.

Uspokojony nieco, stosując się do informacyi wuja Fryderyka, zaczął kreślić na piasku rozmaite figury i linie, wpatrując się uważnie od czasu do czasu w Akershus, w Christianii.

W twierdzy panowała cisza. Jaś słyszał głośne i pewne kroki idącego kapitana, który wreszcie niedaleko niego się zatrzymał. Jaś nie podnosił oczu—kapitan jeszcze kilka kroków naprzód postąpił, Jaś pociągnął laską linię długą — a wtedy oficer nie mógł już nad sobą zapanować.

— Cóż młodzieńcze! — zawołał przyjacielskim głosem, dotykając kapelusza — czy zdejmujesz plan naszej fortecy?

Jaś podniósł oczy, spojrzał zadziwiony, jak ktoś, któremu przerwano głębokie studya; uprzejmie się kłaniając, trochę zmieszany odpowiedział.

— Nie — to tylko przyzwyczajenie, aby się łatwiej zoryentować...

— Doskonałe przyzwyczajenie, prawdziwie dobre przyzwyczajenie — przerwał mu kapitan z zadowoleniem.

— Wzmacnia pamięć — zauważył skromnie Jaś.

— Prawda, prawda, panie studencie — odpowiedział kapitan, któremu nieśmiały Jaś coraz bardziej się podobał.

— Zwłaszcza przy nieco zawikłanych sytuacyach — mówił dalej skromny młodzieniec, zacierając nogą linie w piasku.

— To właśnie chciałem powiedzieć! — zawołał zachwycony kapitan — przedewszystkiem rysunki i plany są niezbędne przy wiadomościach wojennych, jak pan to zresztą łatwo pojąć możesz. Pole bitwy naprzykład...

— Tak, ale są to dla mnie rzeczy zanadto skomplikowane — przerwał Jaś skromnie, śmiejąc się.

Interesy ludu nie tkwiły dotychczas w interesach narodu. Doprowadzenie dwóch tych liczb do wspólnego mianownika — to zadanie przyszłości, ale zadanie nie tak łatwe, jak się na pozór zdaje. Niektóre z cyfr tych uledz muszą pierwej wzajemnemu wyłączeniu. To najbardziej przestrasza wyznawców tradycyi nieomylnej, lękają się bowiem obniżenia poziomu dążeń zbiorowych. Obniżenie to nastąpiło samo przez się, pod wpływem warunków zewnętrznych i bezwiednie może dla tych, którzy potrzebę jego wygłosili, przyczyniło się do utorowania drogi zasadom polityki szczerze demokratycznej. Bardzo być może, iż obniżenie to pójdzie dalej jeszcze i z faktem tym liczyć się należy, nie zapominając jednak o tem, że stosuje się ono do tych tylko dążeń, które opierają się nie na czynnikach przyrodzonych, ale na tak zwanych prawach historycznych, z któremi właśnie historya nigdy się nie liczy. Zresztą wszelką stratę jakowościową równoważy tu, a nawet pokrywa z naddatkiem, wygrana ilościowa. Ona tylko myślom bez formy, uczuciom — bez oddźwięku, słowom — bez słuchaczy, rozdrobnionym zamiarom, rozstrzelonym dążeniom, pracy bez jutra, chęci bez czynu — da spójnię i siłę i życie.

J. L. Popławski.

SZKOLNICTWO FRANCUSKIE.

Paryż, 6 października.

Reformy w nauczaniu średniem we Francyi. — Klasycyzm łaciński i grecki zagrożony. — Niebezpieczny współzawodnik. — „Średnie nauczanie klasyczne francuskie.“ — Braki nowej reformy.

Nie wiem, czy gdzie w Europie, z wyjątkiem Anglii, istnieje podobnie zawikłany i różnorodny ustrój wychowania publicznego, jak we Francyi. Sami wielcy kapłani oświaty francuskiej nie znają zapewne wszystkich zaułków tego labiryntu. Jest to stary, pleśnią porosły budynek, którego zręby kładziono przed trzema wiekami, potem zaś restaurowano go nieraz dość powierzchownie i przystawiono nowe klatki bez bliższego związku z całością. Architektonika przybrała też jakiś barokowy wygląd. Za pierwszego cesarstwa usiłowano to wszystko zlepić w jeden *l'Université de France*, niezatarło to jednak jego cech charakterystycznych i nie odjęło różnoimiennym częściom składowym ich właściwego piętna. Na „Uniwersytet“ ów składają się: szkoły początkowe, normalne, kolegia, licea, fakultety, odrębne instytucye, jak „Collège de France,“ Sorbona, różne szkoły i akademie. W te stare miechy reformatorowie usiłują dziś wlać nowe wino i kto wie, może uda im się to, na złość przysłowiu.

Do r. 1789 państwo nie mięszało się do spraw oświaty, pozostawiając usiłowania w tym kierunku zakonom i ludziom prywatnym. W r. 1790 konstytucya zakreśliła szeroki plan organizacyi wychowania publicznego, który dotąd jeszcze w całości wprowadzonym nie został. Na polu początkowego nauczania zaznaczyć wypada, jako etapy: reformę Guizota z r. 1833, dalsze próby, czynione przez ministra Duruy'a za drugiego cesarstwa, a wreszcie najnowszą organizacyę świeckich szkół ludowych, dokonaną za ministerstwa Juliusza Ferrego w 1880 r.

Wykształcenie średnie zorganizowane zostało w wieku XVIII przez jezuitów i współzawodniczących z nimi oratoryan. Szkielet jego zachował się po dziś. Dodać należy, że dotąd na polu wychowania publicznego duchowieństwo gorliwie tu współzawodniczy z państwem, opierając się na własnych środkach i tradycyjnej pomocy wierzących. Kościół we Francyi rozporządza całym systemem wychowania, w skład którego wchodzą: szkoły początkowe, kolegia, uniwersytety, nawet szkoły specyalne. Współzawodnictwo to prowadzone jest na skalę szeroką i z powodzeniem.

Wszystkie szkoły średnie francuskie, zarówno świeckie jak duchowne, są zamkniętymi internatami, w których uczniowie nietylko kształcą się, lecz mieszkają i wychowują. Co do sposobu nauczania, to mimo zmian zaprowadzonych, na dnie jego leży dotąd Alwar i retoryka.

Gdy po r. 1870 wzięto się energicznie do zmian, zwrócono się żarliwie przeciwko wierszom łacińskim i retoryce, które kwitnęły w kolegiach. Hasło dał uczony pedagog, francuz z pochodzenia, lecz urodzony i wykształcony w Niemczech, Michał Bréal, uczeń Boppa, którego gramatykę porównawczą języków indo-europejskich przełożył na francuski *). Pisali także w tym przedmiocie Jul. Simon, Renan i inni. Do roku atoli 1880 Rzeczpospolita walcząca uporczywie z zalewem reakcyjnym, niewiele zmian wprowadziła w nauczaniu średniem. W tym czasie dopiero, gdy Ferry dzierżył tekę ministerstwa oświaty, zreformowano programy wykładów: powiększono liczbę godzin, przeznaczonych na naukę przyrody i pokrewnych umiejętności, udzielono więcej godzin historyi i literaturze francuskiej, łacinę wypędzono z dwóch klas niższych, tak że dziś zaczyna się dopiero w klasie szóstej **). Reformy te jednak wchodziły w życie z oporem. Wybrane w r. 1880 ciało doradcze, Rada najwyższa (Conseil superieur), złożona z przedstawicieli wyższych zakładów naukowych, przejęta była początkowo duchem reformatorskim. Wkrótce jednak w ciele nauczającem zaczęła przeważać reakcya i wybory do Rady pedagogicznej w r. 1884 odbyły się w tym duchu.

Starano się nieznacznie wrócić do czasów z przed roku 1880, wywołało to jednak znowu silną dość reakcyę na korzyść reform. Uderzono w sam rdzeń średniego nauczania, w klasycyzm, a głośne dziełko Raula Frary'ego *Question du latin*, wydane w początku roku bieżącego, było wybitnym wyrazem tego prądu.

Pod wpływem tych dążeń reformatorskich, dyrektor szkół średnich we Francyi p. Zévort, wystąpił 1 marca r. b. z obszernym memoryałem, wystosowanym do ministra oświaty p. Gobleta w sprawie reformy szkół średnich. Wnioskodawca zastrzegał się, że nie chce całkowicie usunąć ze szkoły języków starożytnych, propono-

*) Patrz broszurę Bréala: *Quelques mots sur l'instruction publique en France*, 1-sze wyd. z r. 1872, 3-cie z r. 1875.

**) Nazwy klas we Francyi idą w odwrotnym porządku niż u nas: ósma, siódma, szósta, piąta i czwarta tworzą klasy początkowe; trzecia, druga, retoryka i filozofia — wyższe.

— Nie mów tego, młodzieńcze — odpowiedział stary kapitan. Ogarnąwszy wzrokiem pole i stanowisko armii, można łatwo uwidocznić sobie nawet bardzo powikłaną bitwę. Spojrzyj pan na pole przed nami, to samo już mogłoby nam dać pojęcie—w miniaturze naturalnie— o... o... bitwie pod Waterloo naprzykład.

— Trafiłem na długą — pomyślał Jaś — ale — *never mind* — kocham ją!

— Bądź pan tak dobry usiąść tu na ławce — mówił dalej kapitan, ciesząc się w duszy, że znalazł tak pojętnego słuchacza. Spróbuję w krótkich rysach dać panu wyobrażenie o tej fatalnej i szczególnej bitwie — rozumie się — jeśli to pana zajmuje.

— Serdecznie dziękuję, panie kapitanie— odpowiedział kuzynek Jaś — nic bardziej nie mogłoby mnie zająć. Ale obawiam się, że pan będzie miał zawiele kłopotu z nieudolnym profanem.

— Bynajmniej! Cała sprawa jest prosta, trzeba się tylko od samego początku zoryentować na polu bitwy — zapewniał uprzejmy staruszek, zajmując miejsce obok kuzynka Jasia i rozglądając się dokoła.

Gdy tak siedzieli, Jaś obejrzał kapitana uważniej i musiał przyznać, że Schroppe pomimo lat sześćdziesięciu był jeszcze pięknym mężczyzną. Miał krótkie, spiczaste, siwe wąsy, końcami trochę do góry zakręcone, co mu nadawało pewne młodzieńcze zacięcie. We wszystkiem przypominał nieco Oskara I na starych dwunastoszylingowych monetach.

A kiedy rozpoczął opowiadanie, kuzynek Jaś sądził, że może być zadowolonym z powierzchowności swojego przyszłego teścia.

Kapitan stanął o kilka kroków od ławki, przy brzegu wału i zakreślił laską koło. Jaś śledził uważnie każdy jego ruch i dokładał wszystkich sił, aby się przyszłemu teściowi przypodobać.

— Wyobraź pan sobie teraz, że ja stoję przed folwarkiem Belle-Alliance, gdzie główna kwatera króla, a na północ—dwie mile od Waterloo, mamy Brukselle — tak, mniej więcej tam, na rogu sali gimnastyki. Droga równoległa przy wale jest szosą, prowadzącą do Bruksełli, a tu — kapitan przebiegł szybko przestrzeń Waterloo — tu w trawie masz pan las Soignes. Na drodze do Bruksełli i przed lasem stoją teraz anglicy, północną stronę pola musisz pan sobie wyobrazić trochę wyższą. Na lewem skrzydle Wellingtona, ku wschodowi — tu w trawie — mamy zamek Hougue-mont; to musimy naznaczyć — mówił kapitan i spojrzał naokoło siebie.

Gotów do usług Jaś, znalazłszy kołek, natychmiast zatknął go w tym ważnym punkcie.

— Doskonale! — zawołał kapitan, czując, że znalazł słuchacza z fantazyą i zainteresowanego w opowiadaniu; z tej mianowicie strony mamy oczekiwać prusaków.

Kuzynek Jaś zauważył, że kapitan podniósł kamień i z tajemniczą miną w trawie położył.

— Tu, przy Houguemont, rozpoczęła się bitwa. Hieronim pierwszy zaatakował. Zdobył las, ale zamku bronił najlepszy oddział Wellingtona. Tymczasem Napoleon, stojący tu, przy Belle-Aliance, chciał właśnie marszałkowi Neyowi wydać rozkaz uderzenia na Wellingtona, gdy spostrzegł całe oddziały wojska, zbliżające się ze wschodu — tam za ławką — pod drzewem.

Jaś obejrzał się i zaczął być niespokojny: czyżby Blücher już miał nadejść?

— Blü... Blü...—próbował Jaś półgłosem.

— To był Bülow — rzekł na szczęście kapitan, to był Bülow, zbliżający się z 30,000 prusaków. Napoleon wydał w wielkim pośpiechu rozkazy, aby przyjąć nowego nieprzyjaciela, bo nie miał żadnej wątpliwości, że Grouchy w każdym razie podąży w trop za nieprzyjacielem. Poprzedniego dnia bowiem cesarz odkomenderował marszałka Grouchy z całem prawem skrzydłem, zawierającem około 40,000 ludzi, na przyjęcie Bülowa i Blüchera; ale Grouchy... — te wszystkie szczegóły pamiętasz pan zapewne z historyi powszechnej — przerwał kapitan.

Jaś kiwnął głową uspakajająco.

(D. c. n.).

wił jednak zorganizować równolegle z tym starożytnym klasycyzmem nowy system średniego nauczania, które byłoby równie ogólnem, równie humanitarnem i klasycznem, opierało się jednak nie na językach martwych, lecz na żyjących, na ojczystym, francuskim przedewszystkiem i innych nowożytnych. Nauczaniu temu radzono dać nazwę „klasycznego francuskiego" (l'enseignement secondaire classique français).

Nie była to myśl nowa. Jeszcze w roku 1865 minister Duruy zorganizował przy szkołach średnich tak zwane „nauczanie specyalne" (l'enseignement spécial). Był to początkowo paro lub kilkoletni kurs, rodzaj wyższej szkoły początkowej. Założono przytem w jednym z zapadłych kątów prowincyonalnych w Cluny „szkołę normalną" czyli seminaryum dla przygotowania nauczycieli do tej kategoryi wykładów. Nauczanie to uległo jednak powoli licznym zmianom. Po roku 1870 rzucono się do zakładania szkół zawodowych i specyalnych różnych kategoryj, istniejące zaś przy liceach i kolegiach „nauczanie specyalne" zaczęło coraz bardziej przybierać charakter ogólnie kształcący. W r. 1882 równoległo to nauczanie średnie znowu zmieniło się. Oznaczono trwanie jego na lat pięć, rozszerzono znacznie programy, nauczyciele, wykładający w tych klasach, zrównani zostali pod względem wynagrodzenia i stanowiska z nauczycielami szkół klasycznych, kończącym zaś kurs nauk zaczęto wydawać bakalaureaty (baccalaureat de l'enseignement special) na wzór średnich szkół klasycznych.

Gdy przeto w roku bieżącym podniesiono projekt utworzenia równoległych klas średnich z programem klasycznym francuskim, znaleziono już gotowy po temu materyał w owem orzeczeniu „specyalnem," które już specyalnem być przestało. Należało tylko powiększyć ciąg nauk do lat sześciu i program nauczania bardziej jeszcze pogłębić i rozszerzyć. To właśnie proponował memoryał Zevort'a.

Minister oświaty stanął odrazu energicznie po stronie reformy. Memoryał przekazał bezzwłocznie wyznaczonej w tym celu specyalnej komisyi, złożonej z trzydziestu profesorów. Komisya-projekt przyjęła i przekazała go stałej sekcyi Rady najwyższej. Sekcya wyraziła się również przychylnie o reformie. W tymże czasie p. minister, przemawiając trzykrotnie: na dorocznym kongresie towarzystwa uczonych, przy rozdawaniu nagród i na otwarciu lipcowej sesyi Rady — wypowiedział się jako stanowczy zwolennik proponowanych zmian.

Skoro jednak projekt przyszedł pod rozpatrzenie Rady, zwolennicy starożytnego klasycyzmu i ludzie lękliwi, przeważający w jej łonie, uderzyli na trwogę. Odesłano sprawę do osobnej komisyi, złożonej z 25 członków, która przybrała jeszcze pięciu biegłych z po za swego grona. Rozprawy Rady i jej komisyi odbywają się tajnie, chodziły więc tylko głuche pogłoski o burzy, gotującej się we wnętrzu rzeczonego Sanhedrynu. Opozycya wybuchła nareszcie w sprawozdaniu. Komisya zakładała protest przeciwko zamachowi uknutemu na klasycyzm starożytny i odrzucała ze zgrozą nowy, francuski, jako prowadzący do zagłady, nietylko samego nauczania, lecz wiedzy, moralności i Francyi całej. Sprawozdawca prof. Rabier, ze źle ukrywaną melancholią wyrażał się w sposób następujący o reformie: „Projekt grozi studyom klasycznym. Jakiś czas, być może, miłość własna rodzin i zadawnione uprzedzenia zachowają tym studyom część przynajich klienteli. Powoli jednak, nowy system, przyjęty do równego udziału w korzyściach średniego wykształcenia, pociągnie umysły w sposób niepowstrzymany. Nowoczesny i klasyczny zarazem uczyni studya grecko-łacińskie rzeczą przestarzałą i wyszłą z użycia. Zniką wahania i wyrzuty sumienia wobec perspektywy porzucenia badań nad językami umarłymi, wymagającymi umysłowego wysiłku... Jest to pokusa, schlebiająca lenistwu młodych ludzi, w czem rodziny stają się dziś łatwo ich współwinowajcami, Tak więc zniesienie, lub choćby tylko stopniowe wykorzenienie obecnego klasycznego nauczania — oto cel, ku któremu zmierza świadomie lub bezwiednie, jawnie lub skrycie, projektowana reforma."

Przytoczyliśmy ten ustęp w całości, jest on bowiem łabędzią skargą systemu, który sam stracił już wiarę w swą przyszłość i zdaje się chylić rezygnacyjnie głowę wobec ciosu, który go oczekuje. Widzimy, jak słabo się broni. Zdawałoby się, że to przeciwnik klasycyzmu parodyjuje jego spóźnione żale.

Nie ulega wątpliwości, że nowa reforma dąży do zupełnego zastąpienia z czasem klasycyzmu martwego—bardziej nowoczesnym. Reformy tej bronić dziś można nawet argumentami starych klasyków. Literatura żyjących narodów europejskich już się zestarzała, stała się już dostatecznie klasyczną, tak, że z pożytkiem wyręczyć może języki umarłe w ważnem dziele kształcenia. Projektodawcy nie mieli zresztą zamiaru odrazu i niegrzecznie wysadzić z siodła dawnych mistrzów greki i łaciny. „Kto zna — pisze autor, z którego czerpiemy główniejsze dane, zawarte w tej korespondencyi *) — zwyczaje francuskiego mieszczaństwa, jego zamiłowanie do obyczajów zadawnionych, ten, jak sądzę, obawiać się przestanie, żeby nowy francuski klasycyzm zbyt szybko pozbawił uczniów szkoły, opartej na klasycyzmie starożytnym."

Opinię swej komisyi Rada znaczną większością potwierdziła. Czepiano się przytem, jak tonący brzytwy, szczególnych argumentów. Ponieważ klasy, utworzone za Duruya, nosiły nazwę „wykształcenia specyalnego," lubo takiemi już dawno być przestały, rozwodzono się więc nad tem szeroko, że dla klasycznego nauczania, nowego czy dawnego, nie należy poświęcać wykładów specyalnych; oświadczono się też za utrzymaniem i nadal owego „l'enseignement special." Nienawistna więc nazwa „francuskiego klasycyzmu" została potępioną i odrzuconą. Zwycięztwo to jednak pozostało tylko formalnem; odepchnięto nazwę, rzecz jednak pozostała. Rada pedagogiczna jest tylko ciałem doradczem, wyraziwszy swój żal, nieomieszkała, mimo widocznej niekonsekwencyi, zrobić ministrowi ustępstwa, co do istotnej części projektu. Oparłszy się nazwie, przyjęto zmiany, które owo rzekomo specyalne nauczanie uczynią bardziej jeszcze ogólnem i klasycznem. Zatwierdzono kurs sześcioletni i znaczne rozszerzenie programu.

Ustępstwo to jednak nie przebłagało p. ministra. Spostrzegłszy, że Rada nieprzychylnie jest usposobioną dla projektowanej reformy, Goblet nie zasięgał już jej zdania co do względnego znaczenia, jakie mieć ma dyplom czyli „baccalauret" zmienionego w ten sposób średniego nauczania. Po zniesieniu się więc już tylko ze swymi towarzyszami, minister oświaty ogłosił dekret, którym nowy „bakalaureat" zrównano z takiemiż stopniami *es lettres* i *es sciences* we względzie prerogatyw przy wstąpieniu do szkół specyalnych i służby rządowej w różnych ministeryach. Dwaj radykalni ministrowie handlu i przemysłu oraz poczt i telegrafów, pp. Locroy i Granet, poszli nawet tak daleko, że wychowańcom nowych szkół średnich przyznali pierwszeństwo przed wychowańcami zakładów dawniejszych.

Minister jednak, pohamowany w swych reformatorskich zapędach przez opozycyę, nie ośmielił się zrobić jeszcze jednego kroku naprzód, któryby nowe nauczanie zrównał w zupełności z dawnem. Nowy „baccalaureat" nie daje i dziś jeszcze prawa wstępu do szkoły prawa i medycyny, lubo otwiera drogę do studyów naukowych i literackich. Dopóki zaś dla kształcenia się w kierunku prawniczym i lekarskim potrzebnym będzie dyplom, zawierający grekę i łacinę, dopóty gimnazyom klasycznym dawnego pokroju uczniów nie zbraknie.

„Zrobiono więc w kierunku reformatorskim krok wyżej, lecz nie ostatni. Nazwę „nauczanie specyalne" nie trudno będzie ministeryalnym dekretem lub uchwałą Izby zmienić na „klasyczne francuskie." O prawo jednak wstępu na wydziały prawny i medyczny toczyć się będzie jeszcze zacięta walka o byt między dwoma owymi klasycyzmami.

Nie ulega atoli wątpliwości, że „nauczanie francuskie" weźmie w końcu górę nad „grecko-łacińskiem." Otwarcie zaś podwojów Temidy i przybytku Eskulapa wychowańcom nowych szkół średnich będzie ciosem śmiertelnym dla starożytnego klasycyzmu we Francyi.

P.

*) Charles Bigot „Les réformes de l'enseignement secondaire." *Revue bleue*, Paris, 1 octobre 1886.

BADANIA NAUKOWE.

SPOŁECZEŃSTWO A LITERATURA.

II.

Czem jest klan, wiemy choćby z krótkiego wyjaśnienia, jakie udzieliliśmy na początku artykułu naszego. Jednostka niknie tu w całości — oto zasadniczy rys tej grupy społecznej, a takie życie zrzeszone nie mogło nie wyryć piętna swego na okazach literatur pierwotnych. Jakiego rodzaju jest to oddziaływanie, zrozumiemy, zbadawszy z istniejących jeszcze obecnie śladów ustroju klanowego to dziedziny, z których z biegiem czasu wykwitła literatura. Tańce plemion czerwonoskórych są ruchami symbolicznymi; taniec bawołu np. przedstawia polowanie na to zwierzę. Gesty i ruchy zajmują miejsce pierwsze, śpiew — a jest on chóralny tak samo, jak gromadzkiem jest polowanie i inne czynności — ustępuje na plan drugi, jednostka tu się zaciera, rzesza tancerzy jest wszystkiem. W chorowodach miru rosyjskiego tańce i melodya stanowią również tło główne, słowa są znaczenia pomniejszego. Autorstwo, jednostka, uczucia jednostkowe — wszystko tu rzeczą nieznaną. Charakter ten sam noszą na sobie gymnopaedry spartańskie, chóry doryckie itd. Autora stanowi tu grupa zbiorowa, a przytem, jeśli badamy ustrój klanowy nie w zanikających jego postaciach, jest to grupa nie mechaniczna, przechodnia, lecz związana z sobą genetycznemi nićmi, jako ród bardów-muzykantów. Tak było w klanach celtyckich, w Grecyi, u hebrajczyków, gdzie stąd rozwinęło się pokolenie lewitów, u hindusów rody takie bardów dały początek braminom. Poezya chóralna klanu, połączona zawsze z gestykulacyą, muzyką, tańcami i śpiewem, zawiera w sobie hymny weselne i na cześć bogów, pienia radosne podczas uroczystości wiosennych, pieśni wojenne i treny pogrzebowe. Obok niej istnieją wprawdzie zaczątki poezyi indywidualistycznej, lecz o charakterze nader odmiennym od obecnej. Nie polega ona bowiem ani na ubolewaniach nad zbliżającą się starością i żalach po młodości przebrzmiałej, ani na utyskiwaniach nad losem swoim i zagłębianiach się w istotę własną. Życie łączne klanu usuwa

możność takich wyjawów, właściwych jednej lub kilku tylko jednostkom oddzielnym, a zamiast znikomej istności człowieka pojedynczego stawiając byt klanu, tem samem nie daje miejsca ani uniesieniom pesymistycznym, ani też analizom i westchnieniom osobistym. Indywidualistyczna poezya klanu traktuje uczucia, które bynajmniej nie są stanami właściwymi pewnej jednostce w odróżnieniu od innych, lecz raczej wspólnymi i przystępnymi wszystkim członkom, więc: samopoświęcenie się sprawie publicznej, zemstę za krzywdy współtowarzysza, sprawiedliwość w rozporządzaniu własnością gromadzką, spełnienie obowiązków pogrzebowych, cierpienia wyrzutków z pośród rodu. Europejczyk ze wzorów swego otoczenia na żaden sposób nie może wyrobić sobie należytego pojęcia o tem, czem jest indywidualność ludzka wśród klanu i na ile jest odrębną od tej, jaka wytworzyła się wśród respublik miejskich, na zamkach baronów i dworach monarchów lub w czasach obecnych. Wreszcie życie klanowe nie pozostaje bez wpływu i na uczucie człowieka względem przyrody i na stosunek poezyi do niej. Bo jak z jednej strony fizyczne właściwości kraju potężnie oddziałały na polityczną i handlową, artystyczną i filozoficzną ruchliwość ludzi, tak z drugiej — budowa społeczna nadaje też piętno odpowiednie poglądom na przyrodę. Dla klanu jest to matka-rodzicielka, dobrotliwa dawczyni lub obrażona niszczycielka plonów; klan, zwłaszcza jeśli ułożył się w gminę rolną, żyje z nią w ustawicznem zetknięciu i przenosi na nią swą bezosobistość jednostkową i asocyacyę. Przeciwnie, gdy klan zaczyna się rozkładać a w potęgę wzrastają wodzowie, różne siły przyrody wydzielają się z dotychczasowego gromadzkiego pojęcia o przyrodzie, zamieniają się na bóstwa, bohaterów i półbogów-przodków wodza; demokratyczne pojmowanie z czasów klanowych ustępuje arystokratycznemu.

Zlewanie się klanów w większą całość polityczną stanowi wspólny punkt wyjścia dla wszystkich form społecznych, które zajęły miejsce tego archaicznego ukształtowania. Centralizacya taka dokonywać się może albo pod przewodnictwem kapłaństwa (hebrajczycy) lub też za sprawą rosnącej przewagi drobnych naczelników wojennych. W obu razach gromada traci na znaczeniu, a z pośród niej wydobywają się tylko jednostki. I w utworach literackich zaczyna kiełkować indywidualizm, słowo zajmuje miejsce pierwszorzędne, muzyka i melodya — podrzędniejsze, aż póki związek tych dziedzin nie zostanie zupełnie rozprzężony. Zresztą każdy z tych dwu kierunków rozwoju społecznego wytwarza już w swych pierwocinach właściwą sobie postać literatury. Jeśli uspołecznianie odbywa się pod przewodnictwem kapłaństwa, powstaje literatura święta, jak to widzimy u hebrajczyków; kiedy zaś dokonywają je drobni królikowie drogą wojen, wyłania się *rapsodya*.

Przyjrzyjmy się z bliska warunkom początku tej ostatniej. Pod wpływem czynników rozlicznych komunalne życie klanu więdnieje, na zgliszczach jego wyrasta własność prywatna i ranga przywilejów, starszyzna klanu dotychczas dożywotna przywłaszcza sobie władzę dziedziczną i wydźwiguje z siebie drobnych królików oraz przyswaja aureolę pochodzenia boskiego, otaczającą ongi gmin cały, członkowie klanu przechodzą w zastępy ludzi wolnych niższego rzędu lub sług, wreszcie wydziela się dokoła królika drużyna wojenna. Na dworach króla przebywają też bardowie. Czyż będą oni opiewali czyny i wielkość klanu? wychwalać jego solidarność, zemstę krwawą za krzywdy przeciwko niemu? Nie; rzecz to arcynaturalna, że będą wysławiać swego chlebodawcę, plwać na sprzeciwiającą mu się gromadę, śpiewać o jego wyprawach i łupach, przypisywać mu czyny drużyny, wyprowadzać ród jego od bogów. Rapsodye homerowskie, poezya epiczna celtów, byliny polan— to wszystko wytwór tej epoki. Poezya traci swój charakter gromadzki, zamiast chórów wyłania jednostki, a jeśli chór zatrzymuje jeszcze, to tylko jako przydatek do tła głównego, który stanowi jednostka. Poezyę epiczną bohaterską spotykamy u ludów wszystkich, które przebywały taką dziejową chwilę drobnych królików; tylko tam, gdzie klan wytrwał dłużej i nie pozwolił na taki okres przejściowy — np. w Rzymie i w Chinach — nie widzimy jej.

Przejdziemy teraz do respublik miejskich. Zauważymy, że to jest forma przejściowa od partykularyzmu drobnych klanów do centralizacyi narodowościowej — chwilowa dla jednych szczepów ludzkości (miasta zachodnio-europejskie), ostateczna dla innych (Hellada). Jako typ takiej społeczności i jej odzwierciedlenia w literaturze posłużyć mogą Ateny. Kiedy wśród kolonij jońskich Azyi mniejszej wzrało już życie jednostkowe, były Ateny jeszcze grodem nieznacznym, pogrążonym w życiu gromadzkiem. Dopiero wszechwładztwo tyranów i wojny perskie zadały cios ostateczny duchowi klanowemu przez podniesienie wzrostu bogactw, które gromadząc się odtąd szybko w rękach prywatnych, niosły z sobą indywidualizm. Nowe idee, nieznane starodawnym a ubożuchnym Ateniom, napływają z Azyi Mniejszej, doprowadzając do starć gwałtownych z tradycyą. Dawna moralność życia zrzeszonego wzdryga się wobec zapędów indywidualistycznych, znających tylko osobistą odpowiedzialność. Zresztą do konsekwentnego zastosowania tej nowej zasady i w dziedzinie życia pozagrobowego przeszkadzało niewolnictwo. Albowiem dopóki „pan“ widzi dokoła siebie korne oblicza swych niewolników, nie można spodziewać się, ażeby przyznał ludziom wszystkim osobistą odpowiedzialność pozagrobową, gdyż tem samem w niwecz obróciłby całą ziemską hierarchię; trudno znowu było wyrzec się, ażeby niewolnicy nie weszli do świata zaziemskiego, bo w cóż zamieniłby się cały przywilej pana? Starcie nowych idej z dawnemi było gwałtowne i oto na tem tle walk, wywołanych w sferze ideologicznej przez zmianę warunków społecznych, wykwitł geniusz ateński, niesłusznie nazwany greckim, w potężne utwory poetyckie, filozoficzne i inne. Lecz życie jego jest krótkotrwałe, bo gdy indywidualizm dosięgnął wreszcie najwyższego napięcia, samym owym rozwojem unicestwił starodawną atmosferę moralną, zagarnął bez podziału plac boju, i z braku starć, w gonitwie za zyskiem — myśl ateńska maleje. indywidualizm ją pożera, aż w końcu przechodzi ona w pedantyczną „logomachię“ i sofisteryę. Nie potrzeba dodawać, że o poezyi epicznej, w którą tak obfituje epoka rozluźniania się związków klanowych, nie może być mowy w dobie indywidualistycznej Aten. Ten rodzaj utworów maluje nam ludzi, wybiegających ponad poziom zwykły, domaga się też uczuć stosownych; tymczasem duch demokratyczny rzeczypospolitych miejskich uniemożebnia i takie typy, i takie stany psychiczne. Jedyną formą poetycką, najwłaściwszą takiemu życiu, jest *dramat*, malujący walkę charakterów. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby każda rzeczpospolita wytworzyć go winna samoistnie, ani żeby nie mógł się on pojawić gdzieindziej. Wszak mamy dramat w Chinach, Japonii itd., wykwitły z misteryj religijnych i poświęcony popularyzowaniu tradycyj świętych lub powstały wśród dworów książęcych. Lecz jedynie wśród grona miejskiego rozsiadło się tyle i tak różnobarwnych charakterów na tak małej przestrzeni, stąd też kiedy w dramacie japońskim lub hinduskim otoczenie fizyczne niezwykle dużo znaczy, w miejskim wszystko obraca się dokoła walki osobistej charakterów. Takie znaczenie miasta dla dramatu, zaciemnione wielu okolicznościami w nowszych społeczeństwach, da się jasno zauważyć wśród Aten. Zrodził się on tu z obchodów religijnych, a te — z hymnów pochwalnych bogom, złączonych, jak wszelkie pienia wśród klanu, z muzyką i śpiewem. Jak w chorowodach miru wielkoruskiego, tak samo i tu na plan pierwszy występował chór, z ponad którego ta lub owa jednostka rzuca zapytanie lub udziela odpowiedzi. I dramat pierwotny nosi wszystkie znamiona takiego rodowodu, cały interes akcyi grupuje się dokoła chóru, jednostka występuje tylko jako uzupełnienie tego ostatniego. Atoli przewodnictwo takie chóru i dramatyzowanie czynów ludzkich za pośrednictwem gromady trwa, dopóki życie zrzeszone jeszcze silnie uderza. Lecz gdy uczucia i poglądy indywidualistyczne głośniej poczynają podnosić swój głos, następuje przewrot odpowiedni w dramacie, aż wreszcie Eurypides zupełnie usuwa chóry i osoby mityczne a wprowadza walkę namiętności i charakterów konkretnych. Słowem, dzieje dramatu ateńskiego — to tylko powtórzenie zmian społecznych w samej osnowie. Nic podobnego nie spotykamy w drugiej rzeczypospolitej świata klasycznego, w Rzymie, tu na zawadzie stanęła tradycya surowa „familii,“ swym despotyzmem miażdżąca polot uczucia i myśli indywidualistycznych, a następnie walka uprzywilejowanych rodzimych klanów (gentów) z nieuprzywilejowanymi przybyszami, która wszystko uniosła w wir zapasów politycznych.

(D. n.)

Lud. Krzyw.

MATEMATYKA.

Tom IX seryi III *Biblioteki matematyczno-fizycznej*, wydawanej prze M. A. Baranieckiego i A. Czajewicza, z zapomogi Kasy Imienia Mianowskiego, stanowi *Kosmografię*, napisaną przez Jana Jędrzejewicza. Autor, lekarz w Płońsku i zarazem właściciel obserwatorium, znany jest w Europie ze swych spostrzeżeń astronomofizycznych, a u nas głośny jako prelegent popularny z dziedziny astronomii. Kosmografia zatem o której mowa, jest dziełem człowieka bardzo kompetentnego — i jako specyalisty, i jako pisarza.

Książka odpowiada w zupełności wymaganiom dzisiejszym. Prócz bowiem rzeczy, pomieszczanych w tego rodzaju podręcznikach, rzeczy dotyczących astronomii opisowej i ważniejszych wyników mechaniki nieba, spora część dzieła poświęcona jest przedstawieniu rezultatu badań astrofizycznych, które dopiero wraz z tamtymi stanowią pełny obraz nieba. Wreszcie wiadomo, jak wielki wpływ wywarły te badania na teorye dawniejsze, dotyczące budowy ciał niebieskich, teorye, opierające się przeważnie na spostrzeżeniach czysto astronomicznych i prawie Newtona. Dość tu porównać poglądy tamte z dzisiejszymi o naturze pierścieni, komet, meteorytów, gwiazd i mgławic, aby się przekonać, że obecnie nauka kosmografii bez astrofizyki obyć się nie może.

Piękny przyczynek do tego dzieła stanowi *Krótki rys rozwoju astronomii*, napisany przez p. Henryka Merczynga, który największy w nim ustęp poświęcił Kopernikowi.

Liczne drzeworyty. wykonane jasno, przyczyniają się bardzo do zrozumienia treści.

Wł. G.

LITERATURA I SZTUKA.

KARTKI ESTETYCZNE.

II. Z różnych zagonów.

Przemówiły u nas w ostatnich czasach dwie sztuki piękne, które bywają najczęściej głuchoniememi: rzeźba i budownictwo.

Rzeźba przemówiła dziełem, budownictwo książką.

Wprawdzie w dziedzinie sztuk plastycznych przekładamy dzieła nad książki; nie wypada nam jednak i tych ostatnich lekceważyć, zważywszy, iż są one siewem, który prędzej lub później wydać może plon realnego czynu.

Z dziełem dłuta, objawiającem kiełkujący, ale niepowszedni talent, wystąpił debiutant, pan Mularski, uczeń nieboszczyka Ostrowskiego oraz Syrewicza.

Wymieniamy „mistrzów,“ nie przykładając do tego szczególu żadnej większej wagi; nauczyć bowiem kogoś ugniatać glinę i obciosywać marmur, nie znaczy jeszcze: tchnąć w niego ducha artystycznej twórczości i wytknąć mu drogę, jaką ma iść *ad astra*...

Artysta tem tylko stoi, co zdobył sam— własną myślą i własnem życiem.

P. M. Mularski pierwszy krok postawił bardzo fortunnie. Jego krzepki, obnażony starzec, z lutnią w ręku i oczami, wyrażającemi poetyckie upojenie, posiada w sobie ową siłę, która *każe nań patrzeć*. Około innych gipsowych i terrakotowych figurek, ulepionych pracowicie, a sztywnych, wymanierowanych a martwych, przechodzimy obojętnie; na tym zaś „Lutniście“ czy „Wajdelocie“ musimy wzrok zatrzymać.

Artysta wykonał tę wielką postać dekoracyjnie. Ażeby mogła ona ujawnić wszystkie swe przymioty, oglądaną być musi z oddalenia i w pełnem świetle. Gdyby miasto nasze posiadało fundusze na cele estetyczne, proponowałbym mu nabycie tego efektownego posągu i przyozdobienie nim jednego z placów lub ogrodów.

Gdzieindziej takie zakupna podtrzymują sztukę i jej.. męczenników. W Paryżu, rzeźbiarze i malarze — ba, literaci nawet i uczeni! — wykonywają „roboty publiczne“ na równi z budowniczymi, inżenierami itp. Pozwala to artystom pracować swobodniej, bez puszczania talentu na pospolity wyrobek. Pozwala to im także nie przerażać spasionych filistrów wytartymi łokciami i zapadłą od głodu twarzą. Prawda, że dostatek chleba nie stwarza prawdziwego talentu, ale prawda też, że brak chleba może i prawdziwy talent uśmiercić.

Pragnąłbym gorąco i na polu budownictwa naszego jakiś debiut pomyślny dojrzeć i zapisać, ale napróżno wzrok za nim wytężam. Pole to od dawnych już czasów pokrywa gruda jałowa. Nie mamy budowniczych, obdarzonych myślą twórczą; nie mamy nawet takich, którzyby umieli formy gotowe z dobrym smakiem kombinować.

Nic rozpaczliwszego, jak te wielkie, wznoszone dziś przez nich falanstery o ciemnych i bezpowietrznych podwórkach, z rzędami okien, równymi jak rzędy guzików na piersiach pruskiego landwerzysty, o pokojach symetrycznych na kształt klatek w menażeryi, o murach wątłych i niepewnych, jak... hypoteka tych, którzy się mianują ich właścicielami!

Utrzymują niektórzy, iż budownictwo już przed czterema wiekami upadło, aby nigdy nie powstać. Autor „Katedry paryskiej“ twierdzi, iż zabiła je — książka. Aż do XV wieku — mówi on — budownictwo było olbrzymią księgą ludzkości, głównem przejawianiem się ducha ludzkiego w rozmaitych stopniach jego rozwoju, bądź w formie siły fizycznej, bądź w formie myśli. Wynalazek druku przygotował dla tego ducha inne ujście i punkt ciężkości sztuki przeniósł gdzieindziej.

Nie przesądzając kwestyi, czy dzisiejszy bezruch jest tylko letargiem, czy też zgonem, zapowiadającym rozkład ostateczny, musimy jednak stwierdzić, iż za dni naszych budownictwo znaków prawdziwego życia nie daje. Gdzieindziej miota się ono gorączkowo, wytwarzając potworne amalgamaty form, po całym świecie i po wiekach wszystkich pozbieranych; u nas zaś spoczywa w zupełnem odrętwieniu. Ostatni jego, dziwnie niesmaczny i krzykliwy przejaw w warszawskim kościele św. Barbary, kędy z nisz wyzierają posągi jaskrawo malowane, modą hiszpańsko-inkwizycyjną, a kaplice upstrzone są freskami w stylu romańsko-restauracyjnym — odrodzenia nie wskazuje.

Wobec tego cieszyć się trzeba i z narodzin książek budownictwu poświęconych. Może pilniejsze, niż dotąd, zgłębianie teoryi wpłynie korzystnie i na praktykę budowniczą.

Aż trzema dziełami wzbogaciła się niedawno nasza literatura architektoniczna.

Pierwszem z nich jest rodzaj filozofii budownictwa p. t. *Analiza kształtów architektury* przez Kazimierza Kleczkowskiego (Warszawa, 1885; wydawnictwo Kasy pomocy I. Mianowskiego). Autor w wydanej dotąd części pierwszej, którą nazywa „ogólną,“ rozwija teoryę i zasady analizy budownictwa, linij pionowych i krzywych, zasłony, wieńczenia, miary i współmierności, a wreszcie kształtów ogólnych. Wykład prowadzony jest zajmująco acz w formie ściśle specyalnej i ujawnia niemałą erudycyę piszącego. Ozdabiają go i tłomaczą odpowiednie rysunki.

Praca p. Kleczkowskiego zbyt jest ścisłą, aby stać się mogła popularną; w pewnych jednak, lepiej przygotowanych umysłach, obudzi ona ruch myśli, który nie powinien pozostać bez dodatniego wpływu na twórczość naszego budownictwa.

O wiele popularniejszem i w szczuplejszych granicach zamkniętem jest przedsięwzięte przez p. J. Hinza wydawnictwo *Szkiców architektonicznych krajowych dzieł sztuki* (Warszawa, 1886; nakład autora i Kasy Mianowskiego). Zabytki średniowiecznego i renesansowego budownictwa są u nas nader nieliczne i mało typowe — należało jednak i tę skromną chudobę w jedną całość zebrać, dla wyrobienia sobie o niej ogólnego pojęcia.

W pięciu, dotąd wydanych zeszytach, przedstawił p. Hinz kilka warszawskich pomników budownictwa (kościół Panny Maryi, kościół św. Jana, Łazienki królewskie) oraz niektóre wydatniejsze budynki rozproszone po prowincyi, głównie na powiślu (zamek w Janowcu, pałac w Otwocku, spichrze Kazimierskie itd.).

Główną siłę tego wydawnictwa stanowią tablice rysunkowe, które pod względem dokładności szczegółów nic nie pozostawiają do życzenia. Odbicie ich fotodrukowe (robota miejscowa p. S. Huberta) jest mniej niż skromne. Niedostatecznym też jest tekst, po większej części wypisany z Encyklopedyi i niedość specyalny.

Zbieracz i wydawca *Szkiców* oddałby sztuce krajowej trwałą przysługę, gdyby nie ograniczał się na odtwarzaniu budowli najwydatniejszych i bez tego już dość znanych, a ujawniających bardzo mało pierwiastku oryginalnego, lecz przedsięwziął archeologiczną wycieczkę, odkrywającą drobniejsze zabytki budownictwa, zapomniane lub lekceważone, w których jednak utaja się młodzieńczy i nieświadomy jeszcze siebie pierwiastek naszej *samodzielności architektonicznej*.

Nie w świątyniach jednak bogatych i zamkach warownych szukaćby mu go wypadło, lecz w drobnych, modrzewiowych kościołkach, dworach i dworkach szlacheckich, starych karczmach z „podsieniami,“ a wreszcie i w takich nawet drobiazgach gospodarskich, jak, próchniejące już dziś: lamusy, sernice, ptaszarnie itd.

Jak poezya nasza i muzyka w pieśniach ludowych, tak sztuki plastyczne w tem właśnie źródle znalazłyby ów „styl narodowy“ bez którego polski artysta dzieł pomnikowych — takich jak *Pan Tadeusz* lub Moniuszkowska *Halka* — nigdy nie stworzy.

Trzeciem z wydawnictw architektonicznych jest dzieło p. t. *Sztuka średniowieczna* (podług dzieł niemieckich, francuskich i angielskich zestawił J. S. Zubrzycki; Lwów 1886; nakład autora). Kompilacya ta, którą wszakże autor opatrzył dodatkami, zabytki miejscowe uwzględniającymi, składa się z dwu części: tekstu (litografowanego własnoręcznie przez p. Z.), oraz osiemdziesięciu kilku tablic litograficznych (również ręką autora kreślonych).

Praca ta, będąca przystępnym wykładem teoryi i historyi średniowiecznego budownictwa (tytuł *Sztuka średniowieczna* jest zbyt ogólnym), z pożytkiem przestudyowaną być może przez naszych artystów i estetyków.

Styl romański (pełnołucze) i styl gotycki (ostrołucze) rozpatruje p. Z. odrębnie i szczegółowo, nie zdobywając się jednak nigdzie na poglądy samodzielne i podpierając się — prócz autorów obcych — zdaniami Kremera i Łepkowskiego. Język wykładu, wogóle jasny i gładki, rażą miejscami takie barbaryzmy, jak np. „najpojedyńczszy“ (?) itp. Na uznanie zasługuje pracowitość autora, który całe dzieło, dość grube, własnoręcznie na kamieniu wypisał i wyrysował.

Architekci piszą książki; malarze zmieniają się w kupców i przedsiębiorców.

Ponieważ Warszawa dostarcza coraz mniej „mecenasów sztuki“ (u nas każdy, kto kupuje obraz wartujący 1,000 rubli za 100 rs. nazywa się „mecenasem“), drużyna malarska postanowiła szukać ich na prowincyi. Poszukiwania te upozorowane być mają obwożeniem ruchomej wystawy obrazów po główniejszych miastach naszego kraju, przyczem każde z okazywanych płócien będzie też do nabycia. Zgoda na ten projekt — byle nie obwożono lichot i byle spekulacya nie spychała na plan dalszy właściwych celów sztuki.

Ostatni ten wzgląd nabiera coraz większego znaczenia, wobec rozrastającego się nadmiernie dyletantyzmu, który coraz zuchwalej posługuje się formułą „my, artyści.“ Trzeba odgraniczyć wyraźnie sztukę właściwą od malarskiego lub rzeźbiarskiego rzemiosła. I rzemiosło to posiada swoją racyę bytu, zarobić może na uznanie i szacunek, ale potrzeba, żeby nie zapominało nigdy o tem, że w świątyni prawdziwego, twórczego artyzmu ma miejsce — za progiem.

Granicy nie stanowi tu zresztą sama forma roboty. Gdyby Rafael pokrył swem malowidłem prosty dzbanek do wody, dzbanek ten stałby się dziełem sztuki; gdyby zaś która z warszawskich sympatycznych amatorek skopiowała swój pęczek kwiatów albo swą chatkę nad strumykiem nawet na stropie sykstyńskiej kaplicy, byłaby to zawsze tylko pospolita, rzemieślnicza robótka.

Prawdy powyższe nie zaszkodzi przypomnieć w przededniu otwarcia Wystawy sztuki ozdobniczej (ornamentacyjnej, dekoracyjnej), którą w tym miesiącu urządza Towarzystwa zachęty. Wystawa ta, traktowana w sposób właściwy i niewydającą zwyczajnym wyrobnikom i wyrobnicom pędzla lub rylca patentów na znakomitości artystyczne, może posłużyć naprzód jedną z najpilniejszych spraw naszego przemysłu warszawskiego i fabrycznego, a mianowicie jego charakter estetyczny.

Temu to właśnie charakterowi, w najpowszedniejszych drobiazgach uwydatnionemu, zawdzięczają wyroby francuskie swą wszechświatową wziętość; bez jego też pomocy nigdy z zagranicznym przywozem nie będzie mógł współzawodniczyć skutecznie.

Co prawda, przywóz ów umie się niekiedy maskować w sposób równie dowcipny, jak — bezczelny.

Dowodem: trudny do wytępienia wyzysk polskiej publiczności przez niemieckich malarzów portretowych, a zarazem krotochwilne przebieranie się niemiaszków w kostyumy coraz innej narodowości, w zamiarze otumanienia naszego łatwowiernego ogółu.

Jakaś dwuznaczna kompania wiedeńska, której firma rzeczywista brzmi może „Jejteles i Brojgeles“ „albo Robert i Bertrand“ przez kilka lat ostatnich grasowała u nas, tając swój plemienny rodowód i zwąc się zuchwale: „Société parisienne...“

Naddunajskim tym paryżanom dobrze się działo i przez swych warszawskich ajentów chwytali oni w sieć swą niemało naiwnych — ale w ostatnich czasach pojawił się i u nich zastój, wywołany głównie nawoływaniem prasy do popierania sił miejscowych oraz konkurencyą zawiązanej wśród polskich malarzów „Spółki portretowej.“

Wiedeńczycy przyczaili się nieco, a potem wytknęli nosy uważając, z której strony wiatr wieje; poznawszy zaś kierunki wiatru podarli swoje karty niemieckie, spalili blankiety francuskie i kazali czemprędzej drukować sobie karty i blankiety... polskie.

Dziś zatem, zamiast „Wiener Gesellschaft“ i „Société parisienne“ operuje na warszawskim bruku „Salon artystyczny—*stowarzyszenie* malarzy portretowych w Warszawie.“

I niemcy ładują sobie w dalszym ciągu kieszenie naszemi pieniędzmi, a my... piszemy anti-germańskie artykuły i łamiemy dłonie nad opłakanym stanem krajowego malarstwa!

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Powody samobójstw. — Objaw zagadkowy. — Kto najczęściej skraca sobie życie. — Jakim sposobem je przedłużyć.— Gwałt jubileuszowy. — Bezskuteczność oporu. — „Dobry obyczaj.“ — Będzie pomnik dla Mickiewicza. — Ratunek w jedynowładztwie. — Niemożność dogodzenia życzeniom ogółu. — Kwestarze na korzyść wdów ludzi zasłużonych. — Bieda uczniowska i studencka.

Władzom, obowiązanym badać powody samobójstw, należałoby nieco ułatwić pracę. Po co one mają otwierać nieboszczyka, przesłuchiwać krewnych i znajomych, kiedy ostatecznie prawie zawsze znajdzie się kartka, w której samobójca oświadcza, że odebrał sobie życie „z powodu braku zajęcia.“ Nawet miłość, dawniej w tych dramatach grająca rolę główną, dziś ustępuje na plan dalszy i rzadko kiedy podsuwa zrozpaczonemu rewolwer, sznurek lub łebki od zapałek. "Sezonową" jest śmierć skutkiem przymusowej bezczynności. W życiu naszem spotykają się dwa zjawiska całkiem sobie przeciwne i nadające obecnemu położeniu pozorną zagadkowość, mianowicie: brak rąk i brak pracy. W kraju, w którym za wywabienie jednej plamy na surducie trzeba płacić rubla, w kraju, w którym ptaszek wymalowany na talerzu kosztuje kilka rubli — ludzie wieszają się i topią z głodu — czyż to nie jest dziwnem? Nie — jeśli zważymy, że prawie zawsze giną jednostki nieukształcone do zarobkowania specyalnego. Proletaryat nasz składa się przeważnie z osobników niezdecydowanych, jednako uzdolnionych do wszystkiego, takich, jakich wytwarza łatwość życia, która u nas znikła nagle. Znajdujemy się w epoce gwałtownego przełomu, który bardzo lekkie warunki bytu zamienia na trudne, do nowych więc nie zdążyliśmy jeszcze dopasować swojej natury i zaskoczeni z nienacka bądź tłoczymy się w ciasne opłotki zawodów niewymagających szczególnego przygotowania, bądź naśladujemy ślepo zwycięzców w gonitwie przedsiębiorczej, bądź pakujemy sobie kule. Średnio inteligentny polak zwykle jest kandydatem do posady w kantorach przemysłowych, w bankach, towarzystwach dobroczynnych, a zwłaszcza na drogach żelaznych. Ze 100 co najmniej 90 marzy o dostaniu się na kolej. Chybią zachody, prośby i „stosunki“ — zawiedziony rozgląda się wokoło i śledzi, kto i na czem bez nauki zrobił majątek. Zależnie od wyników tej obserwacyi — zostaje: właścicielem kilku dorożek, dystrybutorem, owocarzem, restauratorem, wydawcą pisma peryodycznego itd. Jeden wygra los główny, dziewiętnastu stawki, a 80 spróbowawszy innego numeru na loteryi życia, zapada w nędzę lub ucieka do grobu. Bezwątpienia, liczba ofiar byłaby daleko mniejszą, gdyby dzieci odbierały ukształcenie bardziej określone, a dorośli zamiast szukać dróg utorowanych—szukali nieutorowanych. Nasza pomysłowość zarobkowa, zaklęta w niewielu postaciach szablonowych, musi się rozwinąć, urozmaicić, objawić w formach nowych — jeśli nie chcemy: jeść łebków od zapałek, łykać kul rewolwerowych i huśtać się za szyję na powrozach.

Musi się urozmaicić nawet w obchodach jubileuszowych, które dotąd tkwią w składkowych obiadkach. Niedawno roztoczył się przed naszemi oczami wzruszający obraz. Wyśledzono — taka rzecz u nas się nigdy nie ukryje — że inspektor Konserwatoryum muzycznego, p. Brzowski kończy 25 lat publicznej służby. Rozumie się natychmiast postanowiono wyprawić mu obiad. Przestraszony staruszek, przewidując, co go czeka i co zjeść musi, ukląkł i zaczął listownie błagać w *Kuryerach* o miłosierdzie. Na chwilę zlitowano się nad nim, ale wkrótce nieczułe serca wróciły do swej zatwardziałości. Musisz „oblać“ z nami tę uroczystość i chyba po naszych trupach uciekniesz — zawołali przyjaciele. Nie było rady — wszelkie zaklęcia nieskutkowały — i p. Brzowski musiał być bohaterem jubileuszowego obiadu. Gdyby sam jeden odcierpiał tę karę za dwudziestopięcioletnie zasługi, żałowałbym go szczerze. Ale ten sam los, jak zgon, wszystkich czeka. Baletnik ostatniego rzędu, który podskakuje jako butelka we *Fliku* i *Floku*, po 25 latach swej „pożytecznej działalności“ musi z towarzyszami zjeść ucztę i wypić toast. Cóż dopiero mówić o ludziach, pracujących na znaczniejszem podwyższeniu! Są tacy „nieprzejednani,“ którzy gotowi przyłożyć pistolet do piersi jubilata z groźbą: przyjmiesz obiad składkowy lub oddasz życie. Wszelki opór, wymówki, tłomaczenia byłyby w takich wypadkach daremne, a przypominam sobie, że najmocniej łajano postępowców za „znieważenie tradycyi“ i znieważenie „obyczajów wiekami uświęconych“ wtedy, kiedy najczęściej „młoda prasa“ ostrzeliwała jubileuszowe restauracye.

Członkowie komitetu budowy pomnika dla Mickiewicza, nie chcąc doczekać jubileuszu swych niepowodzeń, chwycili się rozpaczliwego a u nas najskuteczniejszego środka: zawiesili swe togi i birety na kołkach a całą zbiorową powagę i sprawę odstąpili jednemu człowiekowi — p. Zyblikiewiczowi. „Rozraduj się w wieczności“ duchu poety, teraz pomnik z pewnością stanie, gdyż: 1) nie ma już komitetu, 2) jest na jego miejscu energiczny człowiek. Nieraz już miałem sposobność spowiadać się czytelnikom z mojego mniemania o różnych naszych komitetach. Z rzadkimi wyjątkami są to żywe obrazy niezgody lub niedołęstwa, komiczno-poważne kahały, które umieją tylko strzedz „przyzwoitości“ i „uroczystości.“ Ile razy jakaś ważna sprawa dostanie się w ręce takiego konsylium, zdaje mi się, że ją widzę na łożu szpitalnem z tabliczką: rozrzedzenie mózgu — i że prędzej czy później skończy żywot na tę chorobę. Każdy z doktorów możeby ją wyleczył, ale gdy kilku zacznie radzić — niezawodnie ją zabije. Dr Zyblikiewicz jest właśnie doktorem, jakiego nam w tym wypadku potrzeba: śmiały, energiczny, stanowczy, nieco despotyczny, nadający swym działaniom tempo szybkie i rozcinający mieczem węzły długo rozplątywane. Przymioty te nie wyłączają możliwości, że pomnik stanie, ale życzeniom ogółu nie dogodzi. Otóż wątpię, czy jakikolwiek tym życzeniom odpowie. Tyle wymagamy od niego — ażeby był piękny, poetyczny, narodowy, ażeby symbolizował utwory wieszcza, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość społeczeństwa — że należałoby pokryć cały rynek krakowski różnemi figurami dla zadowolenia wszystkich pragnień. Gdy włosi wystawiają pomnik Cavourowi a francuzi Gambecie, myślą tylko o Cavourze i Gambecie. Tymczasem my chcielibyśmy do Mickiewicza przyczepić milion różnych wspomnień, uczuć i godeł, które odbiły się i na jego duszy, ale nie stanowiły jej znamion głównych. Wynika to z nastroju chwili, która ową pamiątkę rodzi i w której za dużo słów ciśnie się przez zwarte usta. Jest to więc naturalnem, ale nie powinno być obowiązującem, bo przy tej zasadzie wprzódy się doczeka posągu p. Koźmian lub Tarnowski, niż Mickiewicz. Jeżeli tedy marszałek galicyjski nie ma rozczarować nas nowym zawodem, musimy umiarkować nasze żądania i określić je dokładnie. O co nam chodzi: czy o uczczenie Mickiewicza poety, czy wspomnień, czy marzeń narodowych? Bez ścisłej odpowiedzi na to pytanie, ani p. Zyblikiewicz, ani żaden rzeźbiarz nie stworzy dzieła zadawalającego i co najwyżej wyilustruje bajkę o młynarzu i ośle.

Po pismach naszych krzątają się kwestarze, zbierający ofiary na korzyść wdów po pracownikach zasłużonych. Ma wyjść książka, z której dochód przeznaczono dla żony Wójcickiego, ma być urządzony koncert z celem zapomogi dla rodziny po Dobrskim, a nie mniej od innych godna współczucia p. Lamowa. *Dziennik polski* zapewnił jej 25 złr. miesięcznie, Lam ubezpieczył swe życie na 4,000 — wszystko to jednak razem nie pokryje niedostatku dwu kobiet — matki i córki — na które spadł prawdopodobnie ciężar pieniężnych zobowiązań nieboszczyka. Galicya, która mu najwięcej winna, nie zdobyła się i nie zdobędzie na żadną, prócz idealnej, wdzięczność. Tam składki na pomnik dla Piusa IX trysnęły obficie, tam księże wydawnictwa wsiąkają w olbrzymią gąbkę ultramontanizmu, tam reformatorowie gry loteryjnej używają szerokiego rozgłosu, ale literat, i do tego zmarły, wpływem swoim do kieszeni ogółu nie sięga. Kraj, który kupił zaledwie siedem albumów jubileuszowych Kopernika, nie zapali się do Lama. I tego więc rodzinę musi otoczyć swą opieką nasza pamięć. Wprawdzie bieda ogólna miłosierdzie kurczy, a „inteligencya“ i „przedstawiciele narodu“ rozpoczęli oszczędność w budżecie od usunięcia wydatków na literaturę, ale jeszcze dużo wycisnąć można i ofiar i litości z serc, niepłacących dobrowolnego podatku karnawałowi, podróżom zagranicznym i wyścigom. W tych sercach znajdą się uczucia dla ro-

dziny Lama, który łudził się, obiecując sobie śmiech w grobie.

Do tych społecznie bezimiennych a moralnie odznaczonych odzywa się ponownie studencka i uczniowska bieda. Tegoroczny wpływ ofiar na wpisy szkolne jest we wszystkich redakcyach niesłychanie mały, gdyż — jak poczciwi ludzie mówią — cukier, zboże, wieprze staniały. Na szczęście nie każdy posiada do zbycia cukier, zboże i wieprze, nie każdy „musi“ sprzedawać niemieckiej komisyi kolonizacyjnej ziemię, nie każdy z 10 spadł na 5 tysięcy rubli renty gruntowej i nie „może bawić się“ w dobroczynność; do tych więc upośledzonych a nieskłopotanych znacznymi ubytkami dochodu w spichrzu, owczarni, oborze, stajni, fabryce — odsyłamy młodych biedaków, którzy przez nas o miłosierdzie publiczne proszą. „Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch“... obywatelski, a całość pożądana się złoży. Wprawdzie jedno z pism radziło ongi, ażeby tylko zamożni szli do szkoły; cóż począć jednak, kiedy biedni nie posłuchali tej rady i — jak zwykle — dystansują w wyścigu folblutów.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Nasz urzędowy optymizm. — Skromne pytania. — Kołysanka, czy pobudka bojowa. — Konferencya młynarska i żniwo zebrane przez p. Szaniawskiego. — Pociecha dla lublinian.

Istnieje w naszej prasie objaw, który w braku innego wyrazu nazwałbym *urzędowym optymizmem*. Ktoś przekonywa najsilniejszymi dowodami, że pod tym lub owym względem jest źle, bardzo źle, niesłychanie źle. Przed oczami czytelnika przesuwa panoramę obrazków mrocznych, jak noc. Ukazuje nie już źródliska złego, lecz całe katarakty, staczające się z niepowstrzymaną siłą. I wreszcie kończy frazesem: „Jednakże nie traćmy otuchy! Nadejdzie przemienienie i będzie dobrze!“ Jasno-różowa ta krajka, bramująca szarą i czarną tkaninę, dlatego chyba przestała nas dziwić, że ją bardzo często spotykamy. Skąd się na nią bierze wątek? Czy ze starodawnego: „jakoś to będzie?“ Czy z dobrego serca piszących, którzy nie chcą w rozpacz wtrącać czytelników, nie polawszy na nich balsamu pociechy? Czy nareszcie z jakiegoś ciemnego i nie dającego się jeszcze uzasadnić, a nawet określić przeczucia donioslych zmian ku lepszemu? W ostatnim numerze *Gazety rolniczej* p. Witold Załęski, znany statystyk, w artykule p. t.: „Przesilenie rolnicze i konkurencya zamorska“ ukazuje nam całą bateryę dział najgrubszego kalibru, bijących w dobrobyt rolnictwa europejskiego, a w szczególności naszego. Widok to zresztą dość znany. Ameryka północna, Chili, Argentyna, wyspa Kuba, Indye wschodnie, Persya, Birma, Australia, zasypują pszenicą targi europejskie. Ci współzawodnicy nasi rozporządzają ogromnymi przestworami najżyźniejszej gleby, środkami przewozowymi o wiele tańszymi od naszych i wciąż taniejącymi, nieporównaną maszyneryą wytwórczą i wymienną, a dodać należało, że częstokroć wspiera ich nader skuteczna z góry opieka, której nie rozrywa zabójcza troska o plany wojownniczych sąsiadów i nie ubezwładniają kierunki nic wspólnego z dobrobytem nie mające. Nie dość na tem. Rola u nas musi składać ogromne odsetki od zaciągniętych pożyczek, od różnych zapisów testamentowych, od niedopłaconej przy kupnie należności. Cła od zboża, w Niemczech i Francyi zaprowadzone, pogarszają smutne położenie. Cena produktów nabiałowych spada. Masło krowie z trudnością walczy na niektórych wielkich rynkach przeciw sztucznemu, czyli oleomargarynie. Hodowla owiec i bydła jest bądź niedość korzystna, bądź ryzykowna. Wreszcie niepowodze nie rolnictwa dotkliwie oddziaływa na inne gałęzie produkcyi, na zdolność nabywczą i podatkową ludności, na skarb. Cierpią wszyscy. „Trzeba zatem mieć nadzieję, że połączonym staraniom wszystkich uda się usunąć gnębiące rolnictwo okoliczności“ — kończy p. Załęski. Oczywiście, ziemię można użyźnić, miliony rubli, ciążące na niej — spłacić, przewóz uczynić tanim, użyć do roli, do pracy fabrycznej, krocie tysięcy rąk, zniewolonych czuwać nad tem, żeby inne krocie tysięcy nie wdarły się ze strony najserdeczniejszych itp. itp. „Wszystko to być może“ — jak powiada poeta. I nazwę *optymizm urzędowy* dla wróżb takich można zmienić, jeśli kto wskaże stosowniejszą.

Świat idzie ku lepszemu, to prawda. Czy jednak te jaśniejące widnokręgi przyszłości już się nad nami rozesklepią, czy dopiero nad dziećmi naszemi, czy nad dalszem jeszcze pokoleniem? Czy my, dzisiejsi, już o tyle jesteśmy lepsi, mądrzejsi od naszych ojców, że potrafilibyśmy nie zmarnować jakiegokolwiek niespodziewanego daru fortuny? Czy raczej i dziś, jak za dobrych, dawnych czasów nie stopnieją nam w rękach szczupłe resztki mienia?

Żyjemy po prostu w chaosie. Wiemy, czujemy, że przeszłość zostawiła nam nieoszacowane skarby. Wiemy, czujemy, że przeszłość zostawiła nam ciężkie winy, samobójcze nieledwie nałogi. Dotąd wszakże nie zdołaliśmy się porozumieć co do spisania inwentarza. Około najważniejszych pozycyj gorący, zażarty spór się toczy: ażali je po stronie *ma* czy też po stronie *winien* zapisać.

Doba dzisiejsza również nam niesie drogocenne wyniki badań nowych, doświadczeń, rozmyślań. Całe wagony zdobyczy naukowych, społecznych, przemysłowych przybywają. My ledwo rzucimy okiem na cedułę z wykazem tych obcych towarów, już sama woń ich świeża tak nas odurza silnie, że się zataczamy i do starej cofamy skorupy, albo się szamoczemy z sobą o to, czy wolno nie już wypróbować, przymierzyć, rozłożyć choćby tylko na światło dzienne sprowadzony towar, ale nawet czy otworzyć kufry i tłomoki?

Chaos, chaos, chaos — to smutne hasło chwili bieżącej. Ci udają, że mają niezachwianą pewność i ani na krok z wytkniętego kierunku zboczyć nie chcą, którzy dotąd przewodniczyli w staczaniu się społeczeństwa z wyżyn po pochyłości niebezdennej, zapewne, ale z dnem dotąd jeszcze niedostrzegalnem, choć już eśmy się trzaszliwy kawał drogi obsunęli.

„Trzeba zatem mieć nadzieję, że połączonym staraniom wszystkich uda się usunąć gnębiące okoliczności.“

Tak, trzeba mieć nadzieję, że miną czasy obiegu frazesów, jak papierowej monety, że społeczeństwo za czemś realniejszem oglądać się zacznie, że przestaną roić się dawne pretensye i nowe programaty, a zrodzą się czyny.

Trzeba mieć nadzieję, że będziemy ubogimi, bo nic nam nie zapowiada świetności materyalnej, ale że będziemy umieli pogodzić się z naszem ubóstwem; że pomimo ubóstwa zapragniemy mieć liczne zastępy własnych uczonych, własnych umiejętnych przemysłowców-rolników, przemysłowców fabrykantów i wykształconych rzemieślników; że zapragniemy, aby tym ludziom dać wyposażenie najkonieczniejsze i żeby nasze dzieci wpisywać do tych zastępów.

Inne, na ogólnych, wszechświatowych, a chociażby wszecheuropejskich interesach oparte nadzieje, śpiewane przez publicystykę, tak nam dziś brzmią, jak gdyby kapela wojskowa szeregom pośród uciążliwego marszu, zamiast pokrzepiającej pobudki kołysankę grała. Miła melodya; szkoda, że nie wzmacnia, tylko rozhartowywa ducha.

Od ogólnych widoków zwracając się do spraw szczegółowych, zaznaczyć wypada nadchodzący termin konferencyi młynarskiej, która byłaby niezmiernie ciekawa i niezmiernie ważna dla kraju, gdyby już obecnie zdecydować mogła: czy białej, czy pół-szklistej czyli pstrej, czy szklistej pszenicy oddawać pierwszeństwo w tych lub owych warunkach? Poprzednia narada ten najgłówniejszy przyniosła rezultat, że zwróciła baczniejszą uwagę ogółu na przedmiot. O ile wiem, to wyników stanowczych nie pierwej będzie można oczekiwać, aż po kilkoletniej próbie, podjętej na gruntach doświadczalnych w Sobieszynie. Tymczasem pożądanem byłoby ogłaszanie wiadomości szczegółowych o warunkach, w jakich się te próby odbywają.

Na swoją rękę zaczął badania nad pszenicą p. Z. A. Szaniawski, w Zegrzynku, gub. łomżyńskiej, który w lutym b. r. wystosował do ziemian odezwę, przez wiele pism powtórzoną, o nadsyłanie mu próbek ziarna i dodatkowych informacyj listownych. Obecnie ogłasza za pośrednictwem *Gazety rolniczej*, że otrzymał z gubernij: łomżyńskiej, warszawskiej i radomskiej po cztery próbki, z kaliskiej, lubelskiej i płockiej po trzy, z kieleckiej, siedleckiej i podolskiej po dwie, z grodzieńskiej, kowieńskiej i kijowskiej po jednej próbce (piotrkowska, suwalska, mińska, wołyńska — wcale tedy nie są reprezentowane); lecz te trzydzieści próbek przedstawiają pszenicę przeważnie porośniętą, albo w wyjątkowych warunkach zebraną. P. Sz. prosi tedy o wysyłkę ponowną, z tegorocznego zbioru, który dopisał lepiej, niż przeszłoroczny. Niepodobna p. Szaniawskiemu odmówić odwagi i wytrwałości, skoro po tegorocznem doświadczeniu, które trochę na żart zakrawa, do nowych prób się bierze. Niejeden na jego miejscu przyszedłby już do wniosku, że nie dano mu być prorokiem we własnym kraju.

Naiwność bywa czasem i wśród biedy pociechą. Takiej pociechy dostarczyła czytelnikom swoim *Gazeta lubelska*. „Jak kamień, rzucony w spokojną wodę, tworzy coraz większe na jej powierzchni kręgi, tak dzisiejsze przesilenie ekonomiczne ogarnia z każdym dniem szersze sfery interesów. Licytacye, bankructwa, niewypłacalności są wydarzeniami zwykłemi w dzisiejszych czasach“ itd. na ten sam temat płakał niedawno prowincyonalny organ. Niebawem ukazał się artykuł już bliżej określający niezwykłe rozmiary klęski. „Bankructwa w Lublinie, o których od pewnego czasu krążyły pogłoski, sprawdzają się. Pewien, cieszący się ustaloną opinią dom zbożowy zawiesił wypłaty. Pasywa wynoszą kilkadziesiąt tysięcy rubli, aktywa zaś prawdopodobnie nie pokryją długów nawet w małej części... Świeże upadłości, o których znający tutejsze stosunki utrzymują, iż rozpoczynają tylko cały szereg bankructw, przyczyniają niemały uszczerbek wielu mieszkańcom naszego miasta, którzy znajdowali się w stosunkach pieniężnych z niewypłacalną firmą. Znaczne straty poniosły także tutejsze instytucye finansowe a prawdopodobnie i domy gdańskie.“ Nareszcie z ogromnego słonia robi się mucha. W jednym bowiem z ostatnich numerów czytamy: „Przesadzone *jak zwykle* (tak?) wieści krążą w naszem mieście o niedawnej upadłości jednego z domów handlowych... Firma, która zawiesiła wypłaty, pozostawia prawdopodobnie kilkadziesiąt tysięcy rubli pasywów, które tylko w małej części aktywami pokryte będą. *Straty jednak dotykają głównie osoby postronne, z handlem związku niemające* (winszuję osobom „postronnym,“ czyli niemającym związku z handlem, takich objawów poszanowania dla ich kieszeni) — bo dom handlowy (ów cieszący

się ustaloną opinią) już od roku żadnych większych obrotów nie dokonywał. Jednocześnie prawie zwinięty został w naszem mieście magazyn mód i sklep konfekcyj damskich, co stoi w ścisłym związku z pierwszą niewypłacalnością, a nawet za jedną uważaną być może... a upadłość sama, angażująca sfery handlowe zaledwie na parę tysięcy rubli, żadnego wpływu na nasze stosunki mieć nie może. Czasy wprawdzie dla handlu i przemysłu są u nas ciężkie, lecz nie gorsze niż w całym kraju."

Zdaje się, że i dla reporteryi lubelskiej nie gorsze są czasy, niż np. dla warszawskiej, która podobnie gotowa jest pogrążać domy i instytucye finansowe w upadłości, nazajutrz odwoływać doniesienia i jeszcze żachnąć się na lekkomyślnych plotkarzy albo występnych potwarców, byle za tanie wynagrodzenie dużą zrobić wrzawę. Cacy!

K. Zbrucki.

Płock. Wiadomo wszystkim pobożnym, iż Skępe w powiecie lipnowskim, pod względem cudowności bardzo mało ustępuje Częstochowie. W dniu 8 września odbywa się tam doroczny odpust, na który ściągają tłumy pielgrzymów z dalekich okolic.

Gdy ten czas się zbliża, lud doznaje niepokoju, jak ptactwo przed odlotem. Połowa przynajmniej sług, zaopatrzywszy się poprzednio w fundusz „koszykowy" na koszta podróży i zakupno mszy, opuszcza nasze miasto, pozostawiając „państwo" na łasce opatrzności. Najrozsądniejsze tłomaczenia nie odnoszą skutku, zbawienie duszy przedewszystkiem.

Trudno wyobrazić sobie trudy i niewygody biednych ludzi podczas tych pobożnych pielgrzymek. Idąc gromadą, po większej części boso, narażeni na słotę lub upał, nocują częstokroć pod gołem niebem, żywią się suchym chlebem lub nawet po parę dni nic nie jedzą. Oprócz tego wielu nabożnych dźwiga chorągwie na potężnych drągach, lub obrazy po parę set funtów ważące; bo wszystko to, wedle wpojonych im przekonań, nietylko chwałę bożą pomnaża i zbawienie zapewnia, ale nawet i na ziemskie powodzenie korzystnie wpływa.

Cóż dziwnego, że wielu z tych pobożnych biedaków, wskutek trudu i znojów wpada w choroby, lub umiera nawet. To bynajmniej nikogo nie zniechęca. Znajdą się tacy, co im objaśnią: iż, kogo Pan Bóg kocha, na tego krzyżyki zsyła. Prostaczkowie poprzestają na takiem objaśnieniu i pozwalają dalej wyzyskiwać swoją ciemnotę.

W obecnym czasie powtórzyła się coroczna historya. Odpust udał się świetnie, nie brakło nawet na nim cudu i to jednego z grubszych.

Rzecz się tak miała:

Pewna pobożna kobiecina, matka czworga drobnych dzieci, z miejscowości o 18 mil od Skępego odległej, ślubowała odbyć pielgrzymkę do tamecznej Matki Boskiej, pieszo, boso i nic nie jeść, dopóki się nie wyspowiada i do komunii nie przystąpi. Dotrzymała wiernie biedna istota danej Bogu obietnicy i na miejscu otrzymała nagrodę; bo gdy po sześciu dniach ciężkiej o głodzie podróży upadła krzyżem przed uwielbionym obrazem — nie wstała więcej...

Czy i tę wiara uzdrowiła?

Tak jest, zaprawdę, odpowiadam, uzdrowiła ją na wieki z ciemnoty, w której biedną trzymano.

Zdarzenie to sprawiło niemały popłoch wpośród zgromadzonego ludu. Lecz znaleźli się zaraz tacy, co potrafili objaśnić dowcipnie, że to także cud i zarazem dowód łaski niebios nad zmarłą, gdyż ją Bóg oczywiście w nagrodę pobożności, na świętem miejscu powołał do swojej chwały.

I niktby może nie miał nic do nadmienienia przeciw temu wykładowi śmierci jako nagrody za mizerne na ziemi istnienie, gdyby nie pozostało po zmarłej czworo drobnych sierot. Bo tu nasuwa się pytanie: czy i one mają się uważać za wynagrodzone, a jeżeli tak, to za co... Zresztą wszystko w porządku.

Tylko jedno mnie dziwi mocno w tej sprawie: czemu taka cisza dokoła?

Przed niedawnym czasem z powodu jednej nogi taką zrobiono wrzawę, że aż w celu obejrzenia cudu na gruncie niektóre pisma umyślnych wydelegowały posłańców; a teraz oto, gdy cud wydarzył się w obecności tysiąca świadków, nierównie większych dosięgnął rozmiarów, boć całkowita osoba do niebios powołaną została, dla czego tak cicho? Czyżby to „Boga nieprzyjaciel stary" ludziom głos odebrał, lub pomieszał.. czcionki?

W celu przerwania tak bezbożnego milczenia, przesyłam powyższy opis, prosząc inne pisma o powtórzenie. Do *Kuryera warsz.* zaś załączam prośbę o wysłanie na miejsce „specyalnego korespondenta" dla dowiedzenia się o imieniu, nazwisku i miejscu zamieszkania zmarłej, gdyż piszący te słowa dowiedział się o wypadku z ust naocznych świadków, lecz ludzi prostych, którzy nazwisk nie zapamiętali.

POD MIKROSKOPEM.

Chęć jest wielka, ale siła mała.
Goethe.

Kto ja niżej... niepodpisany?

Lam powiedział: pseudonim jest tak potrzebny w prasie, jak kalosze podczas niepogody — żeby błoto nóg nie obryzgało. W naszej zaś prasie taka niepogoda — tak często można być obryzganym osobiście!

Co ja będę mikroskopował? Komórki i włókna naszej tkaniny umysłowej i społecznej, jej grzybki i bakterye, zabarwione przyjacielską fuksyną — słowem, wszystko, czego w naszem życiu gołem okiem dostrzedz nie można, co jest małem a staje się wyraźnem dopiero w mikroskopie krytycznym.

„Kto wobec walk obywatelskich pozostaje bezstronnym, traci prawo do czci" — rzekł Solon. Ja jednak jestem bezstronnym i nie sądzę, ażebym był niegodziwym. Brak gwiazdki czy kokardy, jakie przypinają sobie gospodarze koncertów i balów dziennikarstwa, nie przeszkadza mi dzielić z niemi wielu przekonań, chociaż — jak mówią w parlamencie — należę do „dzikich." Dzicy ciążą zwykle ku liberalizmowi i ja też będę „hospitantem" *Prawdy*. Wreszcie porozumiałem się z nią i wiem, kiedy byłbym przywołanym do porządku.

Podczas naszej rozmowy dostrzegłem na biurku redakcyjnem numer nowego tygodnika *Głosu*.

— A o tem co panowie myślicie?

— Myślałem — odrzekł jeden z nich — że prasa nasza, za przykładem *Echa* i *Tygodnika powszechnego*, zacznie się zwierać, bo jest rzeką płytką a szeroką, tymczasem ona się rozlewa. Będzie tańszy z niej—piasek. Mój literacki pacierz krótki: wierzę w talent i naukę — w nic więcej; gdziekolwiek te siły wystąpią z nową ideą, trzeba je uszanować i słuchać. Ale takie zjawiska są u nas dziś bardzo rzadkie; mnożą się wiec mózgi, podobne do żołądków karmionych rzadko chlebem a ciągle kalomelem. Według mnie *Głos* jest odgłosem tonów brzmiących u nas dawno i może silniej. Zresztą przeczytaj pan i jeśli chcesz — oceń.

Zacząłem czytać — naprzód prospekt. Pierwsze ustępy kleiły mi się w makagigi, sprzedawane na postępowym targu: trochę w nich miodu — dla osłodzenia prenumeratorom wydatku, i trochę maku — dla uśpienia ich niewiary. Ale trafiłem na frazesy, w których mienił się odcień różnicy nowego organu: „uznanie ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowej," czyli — jak dopełniono później: „podporządkowanie interesów warstw odrębnych interesom ludu." *Zorza* lub *Gazeta świąteczna*... postępowa! — pomyślałem uradowany, gdyż takiego pisma nam potrzeba. Ale pomału dalsze słowa, zapowiadające „czerpanie siły z *najnowszych* kierunków niepodległego badania" odsłaniały mi posępną twarz Proudhona, gdy, zapytany, jakie społeczeństwo uważałby za idealne, odrzekł: „takie, w którem ja byłbym ścięty, jako zachowawca." Widzenie to wszakże trwało krótko, a prospekt natychmiast uspokoił, że *„zresztą drogie (Głosowi)* będą *interesy* i *potrzeby wszystkich* warstw społecznych." Zwykle dyabeł nie taki straszny, jak go malują, a najdowodniej przekonałem się o tem z pierwszego numeru. Wprawdzie i tu zapewniono, że *Głos* ze stanowiska owej zasady będzie „potępiał lub chwalił wszystkie urządzenia i stosunki społeczne," że „poczynając od religii a kończąc na budowaniu fabryk parowych, poczynając od stosunków polityki zewnętrznej aż do najskromniejszych pragnień rodzinnego ogniska, od wyżyn społecznej wiedzy aż do umysłowych potrzeb chłopskiego dziecka" (najrozleglejsza ze znanych skal głosu) — *wszędzie* i *zawsze* stosować będzie ową ideę podporządkowania; na dwu wszakże arkuszach gęstego druku znaleźliśmy: pięć „kroniczek," najnowsze zwroty w filozofii jezuitów, sny proroczе i niezwykłą nerwowość, fizyologię cierpienia, różne artykuły tłomaczone, ale między nimi ani jednego o sposobie „porządkowania." Sheridan, po pierwszym niefortunnym występie parlamentarnym, rzekł do przyjaciół, wątpiących o jego talencie krasomówczym: „Kiedy ja wiem, że on siedzi we mnie, tylko wyjść musi." Może więc owo „podporządkowanie" wyjdzie z *Głosu*.

Nr 2 — na wstępie, pod figlarnym tytułem „Precz z szynkiem" — obrona karczmy, w której „podniecenie daje biedakowi pewną ilość szczęścia," zwłaszcza że „nadzieja życia przyszłego nie jest zdolna ani razu zepchnąć syzyfowego ciężaru teraźniejszości." Po za tem znowu „kroniczki," sny prorocze, fizyologia cierpienia itd., a o „porządkowaniu" — nic. Staje mi za plecami Demostenes i szepcze: pierwszym warunkiem dobrego mówcy jest czyn, drugim— czyn, a trzecim? Również — czyn. Jeśli tak, to frazes prospektowy rozwiewa się w parę, którą chyba dopiero dalsze numery skroplą i zabarwią nią „naczelną cechę" pisma. Tymczasem ma się ono tak, że gdyby zapowiedź *Głosu* wydał Filip macedoński, Aleksander W. mógłby rzec smutnie: „boję się, że ojciec nic mi nie zostawi do zdobycia," ale po pierwszej bitwie takiego papy odzyskałby wesołość i nadzieję. Jest jeszcze pole dla bohaterów, pragnących „podporządkowywać interesom ludu interesy odrębnych warstw społecznych."

Nie sięgając po ten laur, zapytam: czemu *Głos*, zamiast przywdziewać chłopską sukmanę, w którą wleźć nie może, nie wystąpił w zwykłej demokratycznej czamarze i nie oświadczył prosto: istnieje pism liberalnych cztery, ja będę piątem, możliwie do nich podobnem i razem zdziwimy wszystkie kraje Europy, z których żaden nie ma tylu jednorodnych? Czemu zamiast „stawać na gruncie realnych interesów ludu," (który o jego przedsięwzięciu nic nie wie), zamiast „stanowczo potępiać samozwańcze (!) pretensye do kierowania nawą społeczną" i swoją odrębność odznaczać piórkiem ludowem, któremu w istniejących już pismach demokratycznych odpowiada całe pierze, nie oznajmiono: jeden z nas ma pieniądze, które chce w procentowy ruch wprawić, kilku — posiada niezbytą pracę, zawiązaliśmy tedy spółkę, w której będziemy się ścigali ze współzawodnikami? Możeby wtedy, jak i dziś, opinia osądziła, że tylu wydawnictw jednorodnych z natury a jeszcze bardziej upodobnionych przez warunki, maleńki żywioł wolnomyślny w małem społeczeństwie nie utrzyma, bo takiego brzemienia nie dźwigają nawet Niemcy lub Anglia; może współzawodnicy nie byliby zadowoleni, może wreszcie jakiś cynik mojego gatunku, będąc wydawcą pisma postępowego, powiedziałby, jak Diogenes, widzący mysz przy swoim chlebie: „jestem bogaty, skoro mam darmozjadów;" ale wejście nowego „towarzysza" odbyłoby się po kupiecku, zgodnie z powołaniem p. Kiersza, który „na gruncie interesów realnych" wyglądałby doskonale. Tymczasem kapitaliście kazano „niehołdować ideałom kapitalizmu," kupcowi, za którym przysiadło paru literatów *czystej wody* — upominać wydawcę *Prawdy*, że „zasłonił" jej redaktora. P. Kiersz, postawiony „na

wyżynach współczesnej wiedzy,“ tam „czerpiący swą siłę z najnowszych kierunków niepodległego badania“ i stamtąd kierujący „podporządkowywaniem interesów odrębnych warstw społecznych interesom ludu“ — przedstawia taki widok, który nie wydziera nam z piersi krzyku bohatera Szekspirowskiego: „Henryku, ty mnie przerażasz!“

Ale na tym szczycie „stoją za nim.“ Jak rzymska Kornelia, zapytana o klejnoty, wskazała dwu synów, tak p. Kiersz wskazuje nam swych Grachów, mówiąc: „oto są moje klejnoty.“ Garnitur dość duży, ale jest w nim wiele kamieni pożyczonych na uroczystość otwarcia wystawy „podporządkowania“, oraz wiele szkieł farbowanych. Ręczę, że maluczko a p. Kierszowi z całego tego garnituru pozostaną tylko na stałą własność spinki u rękawów, które będzie musiał „ukrywać skromnie.“

Hyperydes żądał od ateńczyków, żeby „zważali nie na to, że on jest w swoich słowach gorzkim, lecz na to, czy jest bez przyczyny gorzkim.“ Miałże *Głos* ową przyczynę piołunowania się na *Prawdę*? Chociaż w prospekcie zapewnił, że prowadzić będzie tylko „polemikę o zasady lub prawdy naukowe, wyrzekając się *stanowczo* drobnych kłótni i swarów,“ dotrzymał tak słowa, jak z „podporządkowywaniem interesów.“ Swarzy się i kłóci wprawdzie nie na korzyść ludu, ale z jego umiejętnością. *Prawda* zaznaczyła przedmiotowo, że *Głos* jest potomkiem *Fortuny* i *Figara*; że stanowi organ kilku literatów, którzy w istniejących pismach nie znajdowali dostatecznego zajęcia. Gdzie tu nieprawda, gdzie obraza? *Fortuna* miała innego dyrektora, ale trupa jej składała się prawie z tych samych aktorów i zostawała pod tą samą reżyseryą. Przerobiono ją na *Figaro*, które nabył p. Kiersz, i — jak czytaliśmy we wszystkich pismach — zamienił na *Głos*. Co zaś do literatów bez dostatecznego zajęcia, *me Hercle!* — ileż razy oni skarżyli się na brak pracy do mnie! Nie wymieniam, ktorzy zaświecili pełniejszym blaskiem, bo musiałbym szczegółowo badać klejnoty Kornelii — ale potwierdzam fakt. Za co więc *Głos* dmuchnął na *Prawdę* *) dymem, przypominającym wyziewy kuchni *Figara... warszawskiego*?

„Pozbycie się złudzenia czyni człowieka mędrszym, niż znalezienie prawdy“ — powiada Börne. Niech więc *Głos* przestanie „podporządkowywać interesy,“ bo z tego kłopotu nie wybrnie a „bliższych swych celów i zadań nie wyróżni.“ Na niezajęty posterunek nie trafił, ale go poszukać winien. Nie mamy pisma poświęconego krytyce literackiej, nie mamy poświęconego socyologii i ekonomice, nie mamy wielu innych, których społeczeństwo potrzebuje. Naśladownictwo nie przystoi ludziom, którzy twierdzą, że noszą coś w sobie dotąd nieurodzonego a odbijanie ech należy pozostawić skałom.

Nie? No, to nie. Niechże dalej idzie „podporządkowywanie interesów warstw społecznych interesom ludu...“ dziennikarskiego.

Gezyasz.

*) Do wielkiego dzwonu przywiązuje on wiadomość, że *Prawda* nie dołączyła mu prospektu. Rozsyłanie cudzych prospektów nie jest obowiązkiem żadnego pisma, ale jego grzecznością lub interesem handlowym. Ponieważ p. Kiersz nie zadał sobie trudu zobowiązania nas do tej grzeczności najzwyklejszą zwyczajową prośbą osobistą, ponieważ redakcya *Prawdy* żadnej opłaty za dołączanie cudzych prospektów nie pobiera i odstępuje ją roznosicielom, do nich więc tylko *Głos* może mieć pretensyę, że na jego list „ile wynosić będzie za tę przysługę należność“ — nie odpowiedzieli. *Red.*

STATYSTYKA.

WZROST WARSZAWY.

Ciekawe cyfry, zaczerpnięte z urzędowych sprawozdań, podaje *Warsz. Dniewnik*, dotyczą one wzrostu Warszawy w ciągu ostatnich lat trzynastu (1872—1885 r.).

Ludność miasta powiększyła się o 54%, mianowicie z 279,999 w r. 1872 doszła do 431,864 w r. 1885. Najwięcej stosunkowo wzrosła żydowska, która przed 13 laty stanowiła 30,64% ogółu mieszkańców, obecnie zaś 33,86% (85,787 i 146,246), najmniej ewangelicka, której stosunek procentowy dość wyraźnie się zniżył — z 5,20% na 4,05%. Stosunek prawosławnych również zmniejszył się nieco, katolików zaś pozostał prawie bez różnicy. Liczba poddanych cudzoziemskich podskoczyła znacznie z 5,715 do 12,752.

Stosunek liczby małżeństw do ogółu ludności pozostał ten sam, ale ilość urodzeń względnie zmniejszyła się bardzo. W r. 1872 jedno urodzenie wypadało na 21 $^1/_4$ mieszkańców, obecnie prawie na 30. Ale za to liczba urodzeń nieprawych zmniejszyła się nawet bezwzględnie i to o połowę prawie: 4,030 i 2,011.

Przed czternastu laty było w Warszawie 265 fabryk, w których pracowało 7,243 robotników. Wartość wytwórczości obliczano na 14,335,488 rs. W r. 1885 w 332 fabrykach, produkujących na 28,644,454 rs., pracowało 14,135 robotników. Tym sposobem w okresie trzynastoletnim produkcya fabryczna Warszawy podwoiła się, w tym samym stopniu wzrosła ilość robotników, kiedy liczba fabryk powiększyła się tylko o 26%. Cyfry te dowodzą, że kapitał wielki bierze górę w przemyśle fabrycznym. Produkcyjność pracy robotników wzrosła bardzo niewiele: 1,979 i 2,026 rs.

W 1872 r. znajdowało się w Warszawie 2,926 rzemieślników majstrów, 3,536 czeladzi i 4,729 uczniów, produkujących rocznie rozmaitych wyrobów za 6,039,560 rs. W 1885 r. liczono 5,758 warsztatów, 13,980 czeladników i 20,058 uczniów. Olbrzymi ten wzrost rzemiosł posiada wszakże ciemne strony, bo i tu również kapitał otrzymuje coraz większą przewagę: podówczas gdy liczba warsztatów zwiększyła się tylko o 96%, liczba robotników o 412%, a wartość produkcyi o 626%. Chociaż produkcyjność pracy rzemieślniczej nie może równać się wcale z produkcyjnością fabryczną, wzrosła jednak w tym okresie czasu dosyć znacznie, bo z 730 do 1,112 rs. na osobę.

Ludność zajmująca się handlem, więcej niż potroiła się — 11,808 i 37,738. Stosunkowo zwiększyła się znacznie liczba kupców 2 gildyi (889 i 1,334), drobnych handlarzy (2,486 i 3.959) i subjektów.

Wszystkie te cyfry dowodzą, że wzrost Warszawy postępuje bardzo szybko, ale równolegle zwiększają się również ujemne strony życia wielkomiejskiego. Kiedy w 1872 r. było osądzonych za różne zbrodnie i wykroczenia 5,786 osób, w r. 1885 liczba ta potroiła się prawie, liczono bowiem 15,144 ludzi oskarżonych o udział w 15,257 występkach. Wprawdzie są to cyfry z dwóch różnych źródeł i niejednakowej kategoryi, nie posiadają więc pożądanej dla porównań ścisłości, można jednak na podstawie ich wyrokować, że postęp zbrodni wyprzedza znacznie wzrost ludności.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Projekt unormowania produkcyi cukru, zatwierdzony w zasadzie, przedstawia w szczegółach wielkie trudności, które jeszcze rozstrzygnięte nie zostały. Pomówimy o tej sprawie obszerniej, kiedy wyjaśni się ona należycie, tu dodamy tylko, że cukrownie mniejsze, z produkcyą do 50,000 pudów, wolne będą od ograniczeń.

Nagana publiczna. Ukaz Senatu, zamieszczony w *Prawit. Wiestniku*, krytykuje surowo dotychczasową działalność sędziów pokoju, ganiąc szczególnie przewlekanie i odraczanie spraw. Dla usunięcia tego stanu rzeczy, kontrola nad sądami pokoju ma być znacznie obostrzoną.

Nowe pismo tygodniowe p. t. *Życie* wydawać zamierza p. Paprocki, księgarz, zamiast *Wiadomości bibliograficznych*.

Towarzystwo lekarskie w Łodzi zostało zatwierdzone, głównym celem jego ma być zbadanie miasta i okolicy pod względem sanitarnym.

Nowa planeta. Dr. Palisa w Wiedniu odkrył nowy asteroid, których liczba doszła obecnie do 260.

Akademia nauk w Petersburgu postanowiła w latach przyszłych wydawać nagrody z kapitału imienia hr. Uwarowa, za dzieła historyczne, dotyczące stosunków Polski do narodowości ruskiej.

Ograniczenia praw żydów, zwłaszcza w sądownictwie, zdarzają się teraz często. W okręgu warszawskim, jak zapewniają dzienniki petersburskie, usunięto lub niedopuszczono do zajęcia urzędów około 50 osób. Projekt ograniczenia procentu izraelitów w adwokaturze znowu został podniesiony.

Szkoła realna w Zgierzu, o którą starali się mieszkańcy, według postanowienia ministra oświaty może być otwartą, jeżeli miasto przyjmie na siebie koszta jej urządzenia i utrzymania.

Niemczenie Poznańskiego robi postępy, w jednym powiecie gnieźnieńskim komisya kolonizacyjna kupiła 10,000 morgów, oprócz tego, skarb nabył jeden, a instytucya „Wilhelmsspende“ 2 majątki. Prasa niemiecka podaje, że w liczbie dobrowolnie ofiarujących komisyi swe majątki znajduje się niejaki Kruszyński, który przed rokiem jeszcze chciał zmusić władzę do przywrócenia polskiej nazwy wsi. „Okoliczność, że tak dzielni ludzie składają broń, zależy zapewne od tego — ironicznie powiada dziennik niemiecki — że państwo dobrze, może nawet za dobrze płaci“.

Nowa kolej, łącząca Żytomierz z Berdyczewem, długości 44 wiorst, zbudowaną będzie w roku przyszłym.

Pijaństwo w Anglii wzmaga się ciągle. Statystyka oblicza, że około 100,000 ludzi rocznie umiera wskutek nadużycia trunków. W 1829 r. było w Londynie 5,000 szynków, obecnie jest ich 20,000.

Rabunek. Na drodze warszawsko-petersburskiej, w pobliżu stacyi Iwanowki, złoczyńcy w liczbie 30 napadli na pociąg towarowy, wskoczyli na stopnie wagonów i zaczęli łamać drzwi. Służba pociągowa nie mogła stawić oporu, tylko maszynista przyspieszył bieg, pomimo to jednak rabusie, złupiwszy jeden wagon, wyskoczyli zdrowo i umknęli.

Zapis. Książę Aumale ofiarował Akademii francuzkiej majątki swe i zbiory, oceniane na 35 milionów franków.

Zmiana nazw. Wszystkie kolonie niemieckie w gubernii wołyńskiej otrzymały nazwy rosyjskie.

Rewizye sądów przez umyślnie wydelegowanych senatorów mają być przedsięwzięte w całem państwie rosyjskiem.

Cholera ukazała się już w Odesie, tak przynajmniej donoszą gazety miejscowe.

Powódź praw. Od 1798 do 1885 r. rozmaite rządy we Francyi wydały 161,146 praw i dekretów, najwięcej stosunkowo uchwaliła ich dzisiejsza rzeczpospolita, bo 40,120, czyli 2,675 rocznie.

Adres kobiet irlandzkich podany Gladstone'owi posiada 5,000,000 podpisów, zbieranych w kraju i w Ameryce.

Ciekawy zapis. Psycholog angielski Bucking dowodzi, że plotkom oddają się głównie kobiety niezamężne, po 35 roku życia i dochodzi do wniosku, że w interesie społeczeństwa należy wydawać je za mąż. W tym celu Bucking złożył w ręce aldermana w Newcastle 1,000 f. szt. na założenie zakładu komisowego, w którym na koszt publiczny wybieranoby małżonków pannom doletnim. Oryginał sądzi, że przykład jego wywoła naśladownictwo i obfite ofiary posypią się ze wszystkich stron.

Antysemici znajdują się w przykrem położeniu, 14 wybitniejszych przedstawicieli tego stronnictwa w Niemczech skazały na więzienie sądy za oszustwo lub falszerstwo.

Statystyka. W 1855 r. liczono w państwie rosyjskiem 100,038,342 mieszkańców, z tej liczby na królestwo przypada 7,219,077, Finlandyę — 2,027,021; na Kaukaz, Syberyę i posiadłości w Azyi środkowej — 15,186,456.

Zmarli. K. Mansfield-Ingleby, najlepszy komentator Shakespeara.

— Franciszek Adam, sławny malarz niemiecki.

— Leuth, adwokat we Wrocławiu, obrońca polaków w znanym procesie berlińskim 1864 r.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wład. Gr. Pióro Pańskie nie jest ze skrzydeł, szybujących po krainie fantazyi. *Przewodnik dla samouków* wyjdzie wkrótce; dotąd stały mu na drodze i przeszkody niepokonane i trudności wykończenia takiej pracy zbiorowej.

Feliksowi B. Nie; rękopis do zwrotu.

P. K. Din. Pisownia: *ymi* dla wszystkich rzeczowników mezkich, której my używamy, wydaje nam się jedynie logiczną, gdyż gramatyka, przypisując każdemu przedmiotowi płeć, już tem samem znosi wszelką nieżywotność i do rodzajów stosować powinna jedną regułę.

Prenum. S. w Moskwie. 1) *Uwagi nad polit., nauk. i filantrop. działaniem S. Staszica*, Poznań 1873; nadto krótkie biografie: Promyka, Goldszmidta; 2) nie jest wykonywana, a rozwój instytucyi wstrzymany; 3) z *Opiekunem* upadło i wydawnictwo; 4) dotąd nie ma.

P. J. Jank. Nie możemy mówić poważnie, bo Pan zbyt rozśmieszony.

P. Wacł. Kr. Pindter jest oficerem austryackim, katolikiem i przyjmował udział w powstaniu 1863 r. *Nord. Allg. Ztg* należy do fabrykanta guana Ohlendorfa, który zobowiązał się Bismarkowi „pozostawiać do użytku kawałek białego papieru w „gazecie.“

P. Sz. w Ostrowach. Rs. 10 odebraliśmy: opłacony rok 1886, z roku 1885 nadpłacono kop. 50, które pozostają do rozporządzenia.

P. W. w Woroncowo-Horodyszczu. Do kwartału IV należy nam się rs. 2.

P. O. w Końskiem. Do końca roku należy nam się rs. 1 k. 50. Żądane numery wysyłamy.

P. Godl. w Proskurowie. Echo wyczerpane, rubel zostaje u nas.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. S. Sarno rs. 1; Dr Opacki z Łodzi rs. 2, Jabłkowski rs. 1; bezimiennic rs. 1; Z. H. z Koroczy rs. 1.

Do rozporządzenia redakcyi. Od L. Z. z Łukowa, zebrane ze sprzedaży olejnego obrazka rs. 6; U. D. N. rs. 20.

Na wpis dla uczennicy. Kółko znajomych, zebranych z gry w winta rs. 9.

Ogłoszenia.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż w dniu 15 b. m. otwartą została w Sali głównej Resursy Obywatelskiej Wystawa czasowa dzieł sztuki ornamentacyjnej i reprodukcyjnej. Składa się z trzech oddziałów: 1-szy obejmuje: miniatury, emalie, malowanie na szkle, porcelanie i fajansie: 2 gi: sztychy, akwaforty, drzeworyty, litografie i wszelkiego rodzaju ręczne reprodukcye; 3-ci wszelkiego rodzaju ornamentacye. Wystawa otwarta codziennie od godz. 10 rano do godz. 5 po południu. Cena wejścia w dnie powszednie kop. 20 w niedziele i święta kop. 10 od osoby. Dzieci do lat 10-ciu płacą połowę. Na Wystawę nadesłali swoje prace: pp. Aleksandrowicz Wiktorya, Below Leop., Brzozowski Fel., Fiedler Jan, Gersonówna Jadwiga, Głowacka Marya, Holewiński Józef, Kanigowska Alfonsa, Kosmowska Irena, Lachner Fryderyk, Lideman Emil, Łoskoczyński Józef, Malinowska Bronisława, Miniewska Izabella, Mrówczyński Kaz., Mysyrowicz Aloizy, Niewiadomska Józefa, Niewiedzielski Piotr, Poświkowa Bronisława, Puc Bronisław, Rodziewicz Józefa, Stadnicki Wład., Stanko Julian, Styfi Jan, Szmurło Marya-Karolina, Tepa Franciszek, Walkiewicz Wład., Waroczewski Kazimierz, Williamson Ella, Wiśniewski A., Zajkowski Andrzej, Berliński Leopold, Dobrowolski Romuald, Eli, Kurnatowska Halina, Lewenberg Leonia, Kryński Jan, Mejer Maryla, Mękarski Julian.

Wielu nowych abonentów naszych wyraziło chęć posiadania poprzednich bezpłatnych dodatków *Prawdy* a niemożność nabycia ich po dotychczasowej cenie. Ulegając temu życzeniu, dla nowych (od 1 października) abonentów, *którzy co najmniej opłacą prenumeratę półroczną*, zniżamy cenę wszystkich dodatków *o połowę*, tak, że one kosztować będą:

Pypin: *Kwestya polska* (kilkanaście tylko egzemplarzy) kop. 50 (zam. rs. 1).

J. Brandes: *Główne prądy literatury XIX w.* rs. 3 (zamiast rs. 6).
Ekonomia polityczna rs. 1 kop. 50 (zam. rs. 3).

Liard: *Logika* kop. 50 (zamiast rs. 1).

Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (zeszyt I) kop. 25 (zamiast 50).

Zniżenie zatem ogólne wynosi rs. 5 k. 75.

Uwaga. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla. Naturalnie, dla nieabonentów *Prawdy* cena owych dzieł pozostaje dawniejszą.

Na początku roku przyszłego wyjdzie nakładem naszym w tłomaczeniu polskiem epokowe dzieło amerykańskiego badacza Morgana (z objaśnieniami Marxa i Engelsa), którego olbrzymią wartość wykazywaliśmy szczegółowo w jednym z artykułów *Prawdy* — p. t.:

PIERWOTNE SPOŁECZEŃSTWO

czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Dzieło to, które dało nową podstawę badaniom naukowym, mające przeszło 40 arkuszy druku, w drodze prenumeraty kosztować będzie tylko rs. 3., z przesyłką rs. 3 k. 30. Po wyjściu książki cena jej zostanie znacznie podwyższoną.

Przy Administracyi *Prawdy*, która od tygodnia mieści się w oficynie tegoż domu na pierwszem piętrze (wejście na prawo) urządzona będzie nasza

KSIĘGARNIA,

załatwiająca wszelkie zlecenia interesantów co do kupna i sprowadzania książek oraz prenumeraty pism. Abonenci *Prawdy* w Warszawie mogą przesyłać nam swoje żądania piśmiennie, a my im żądaną książkę odeślemy do domu, gdzie jej cenę zapłacą. Również z prowincyi przyjmujemy odpowiednie obstalunki.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Chmielowski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX. studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światełko. książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzów polskich, w ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekscie rs. 1 kop. 80.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki) Szkice i Obrazki. **tomów cztery** z portretem autora rs. 5.

W ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Smoleński Władysław. Drobna Szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne kop. 60.

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej:** Warszawa, Złota 23.

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Октября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**